

TECZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

T O M VI.

WARSZAWA.

1 8 3 9.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



ZAKONNICY

N A G Ó R Z E

SWIĘTEGO BERNARDA.

Dla tego kto Szwajcarję zwiedza, najobfitszém źródłem przyjemności są sprzeczności jakie napotyka. Zaledwie wyszedł z dymnego miasta, i opuścił piaszczysty wiejski gościniec, aby ode-

tebnać czystém powietrzem pod ciemnym pokryciem jodłowych lasów, uczuwa w sobie nowe życie. Z jakąż rozkoszą spogląda na lśniące jeziora i czyste strumienie, porównywając je z bagnistemi wodami miast! Z jakąż rozkoszą wypoczywa szczęśliwy wędrowiec wśród tego spokojnego przyrodzenia, którego cichość tylko śpiew pasterza albo skok kozy przerywał.

Nagle ukazują się na widno-kregu razem ponure i świetne lodowe góry, z majestatycznemi w górę sterczącemi głowami, i lśniącym ku niebu zmierzającemi szczytami! Kto może bez podziwienia i trwogi patrzeć na te bezdenne przepaści i te popiętrzone massy skał, od których boków odrywają się straszliwe lawiny.

W jednej podobnej podróży, doznajemy najrozmaitszych uczuć; patrząc na bogaty pomnik, dajemy się unieść podziwieniu nad przewyższonemi ręką ludzką trudnościami. Widok szczytnych scen natury, wznosi naszą duszę do przedwiecznego, albo ożywia nas jakieś melancholiczne religijne uczucie, a oba te uczucia łączą się wstępując na górę S. Bernarda!

Dzieło boskie widzimy w szeregu rozciągających się gór skalistych, i lodowatych, dzieło

widzimy w ciągnącym się wprost przez te góry gościńcu!...

Drogą przez górę ś. Bernarda można być w dwa dni z Genewy w Aosta. Statek parowy przywozi podróżnych do Vevey, z kąd powozem jakiego tam używają, jedzie się na nocleg do Martigny. Następnego dnia wychodzi się o godzinie piątej zrana, i z wolna postępuje się w górę, gdzie stopniami wszystkie temperatury i płody Europy napotykamy. Najprzód przychodzimy do pięknie uprawnych winnic, które się po obu stronach wzgórzów ciągną i aż ku rzece zstępują, która z szumem wpada w przepaść, dalej w górę spotykamy bogate żniwa, a rosłe owocowe drzewa, dowodzą płodności gruntu. Wysoki wzrost i ciemna pleć mieszkańców gór, okazują pracowity i boży naród. Uszedłszy kilka godzin, mdlejąc prawie pod palającymi promieniami słońca, widzimy znikające uprawne pola, ... powietrze jest chłodniejsze, łąki rozwijają swe darniowe kobierce, a jodły zastępują miejsce drzew owocowych; słyszymy ryk bydła i szalamaje pastery odbijające się tysięcznym echem... dusza podróżnego otwiera się miłym uczuciom na widok gór, a ciało jego wzmacnia się ożywiającym powietrzem, jakim oddychamy na Alpach. Jleż

poezji znajdujemy w i ę m przyrodzeniu! ale trzeba się spieszyć z użyciem tych roskoszy, bo prędko scena się zmienia, darń staje się coraz rzadszą drzewa coraz niższe; karłowate, pogarbione krzaczki zastępują sosny, a grunt staje się kamienisty.

Po szumie niw zbożem pokrytych, po świągocie ptasząt, następuje ryk szumnego potoku, który jak białe płótno odbija się od wiecznych lodów któremi pokryte są tych gór szczyty. Powietrze staje się co raz zimniejsz ę m, i podróżnik rzuca ostatecznie spojrzenie na tę ożywioną naturę, gdzie zarazem jako pożegnanie, pozostawił swoją szczęśliwą spokojność i roskoszne uczucia.

Przybywszy w te lodowe krainy, w chwili tego przejścia, uczulem się przejętym bolesn ę m wrażeniem, którego nie zdołałbym wyrazić; bardziej jeszcze wzrosło to smutne uczucie, na widok ubogiej chatki, bez drzwi i okien, około której panowała grobowa cichość...

— Co to jest? zapytałem mego przewodnika, którego smutne wejrzenie zadziwiło mię.

— To jest dom trupów, należący do klasztoru, odpowiedział przewodnik; tu składają się znaleźieni w okolicy umarli podróżni, którzy nie

mają z sobą żadnych papierów, mogących wskazać ich stan i imię. Patrzcie panowie, na tym kamieniu, na którym teraz odpoczywacie, znaleźliśmy 20 Marca przeszłego roku, tego młodego człowieka...i pokazał nam trupa przystojnie ubranego, który zzwieszoną głową z ściśnionemi między kolanami rękoma, siedział w kącie szopy, i zdawał się być w głębokim śnie pogrążony.

— Ten nie wiele cierpiał, mówił dalej przewodnik, śmierć zaszła go, ani wiedział kiedy; ale nie wszyscy tak lekko umierają! Ta kobieta na przykład; jak jęj ramiona są powykręcane, musiała ona niewymówne bóleści przenieść.

Odeszliśmy przerażeni i z silnie wzruszonym sercem, z tego mieszkania śmierci, i udaliśmy się w dalszą drogę, żalując prawie żeśmy ją przedsięwzięli.

Mieliśmy jeszcze iść dwie godzin, i im wyżej wstępowałamy, tém silniej przewiewał zimny wiatr i pokrywał nas lodowato śnieżystym powietrzem, które z szczytów gór niósł wprost przeciw nam. Przymuszeni byliśmy mocno otulać się w płaszcze, których ciężkość, nieznośną czyniło znaczne rozrzedzenie powietrza.

Spojrząwszy na drogę którą już przebyliśmy, nie mogliśmy pojąć śmiałości tych którzy odważają się iść na tę górę bez przewodnika, gąźie nie znajdują żadnej utartej drogi, a każda ścieżka może prowadzić do nieskończonych przepaści. Już sama myśl o wichrze który nawet w oczach przewodnika naszego mógł zatrzeć wszelki ślad i wskazówkę drogi, i wystawić nas wycieńczonych znużeniem na przepędzenie nocy bez pokrycia i pokarmu, już ta myśl sama podwajała nasze siły, iszliśmy z nadnaturalnym natężeniem, chociaż już nogi nasze chwiać się zaczęły. Nagle wykrzyknęliśmy radośnie na odgłos długiego i głośnego szczekania: „Klasztor! klasztor!“ Weselość nasza wróciła, zabrzmiały na nowo piosnki i rozpoczęła się rozmowa żywa i radośna... Zapomnieliśmy o znużeniu... Obśypywałamy pieszczetami pięknego psa który się zbliżył do nas zwolna i potem pobiegł przed nami zapewniający się, że nikt nie pozostał w tyle.

Aby doświadczyć instynktu tego zwierzęcia jeden z nas zeszedł na bok w wąwóz, i usiadł, jakby już dalej iść nie mógł; natychmiast pies poskoczył ku niemu, zaczął mu przyjaźnie lizać ręce, i chwytając go za suknie ciągnął ku nam

jakby chcąc uduć do zrozumienia że koniecznie musi pójść dalej. Po kilku minutach znajdowaliśmy się przed klasztorem.

Obadwa domy z których się klasztor składa murowane są nader prosto i silnie, nie miano czasu myśleć o architekturze. Budowle te wzniesione są na obszernej płaszczyźnie, której część zajmuje czarne głębokie jezioro, które powiększa jeszcze ponurość okolicy, pustej i pozbawionej zupełnie wszelkiej wegetacji. Tu i owdzie jasne pokłady sniegu, przerywają czarna^a skał powierzcaniem i rzucają blask na smutną okolicę.

Zadzwonienie oznajmiło nasze przybycie, prosto ubrany sługa, zaprowadził nas do izby w której nas przyjął młody zakonnik i zapytał z słodką i uprzejmą gżecznością, czy chcemy nocować w klasztorze, czy też udać się do Aosta. Oświadczyliśmy życzenie pozostania. — „Bardzo dobrze dodał, ale ponieważ my dopiero około siódmej godziny wieczoramy, a teraz dopiero jest druga, pozwolą panowie służyć sobie czémkolwiek, bo znam dobrze apetyt, jakiego uabywa się wstępując na naszą górę.“

Zszybkością jakiej można się spodziewać w najlepszych oberżach, zastawiono nam mięso, ser i parę butelek wina. W każdym innym razie byliśmy się wstydzić jeść połowę tego cośmy tu zjedli.

Zaspokoiwszy głód, chcieliśmy wszystko w około obejrzeć i o wszystkiem się dowiedzieć. Weszliśmy na trzecie piętro budynku, pokazano nam celki zakonników i pokoje dla podróżnych. W każdym z nich były trzy łóżka, wszystkie piece dobrze opalone a umeblowanie tak ładne, jakby w jakim wiejskim pałacyku. Przystąpiwszy do okna i odsłoniwszy firankę, uczuliśmy mimowolne smutne usposobienie do głębokiego zamyslenia, [bo widok téj] pustyni wokół, daje nam oceaiać wielkość ofiary tych wzniosłych ludzi, którzy się poświęcają i dają swoje skracają, aby ratować swoich bliźnich.

Zwróciwszy spojrzenie w przeszłość, widzimy jak od dziewięciuset lat jedne po drugich pokolenia niktęły na tych lodowych górach; cóż było tego przyczyną? Sława, ambicja, interes? ale wszystkie te ludzkie słabości, spoczywają o pięć tysięcy stóp pod nami!!!

Na próżno szukaliśmy pomiędzy powstałem; pod wpływem ludzkich namiętności zakładami

jednego, któryby tyle wieków przetrwał nie zmieniwszy się i nie odstąpiwszy od swego pierwotnego celu ani na chwilę, podczas, gdy wszystko w okóło niego kilkakrotnie nową przybierało postać! Tylko chrześcijańskie zasady mogą być (tak niewzruszonemi.

Tu na dole miłość bliźnich, a tam w górze miłość Boga, jest spodziewaną nagrodą, która jak sprężyna ruch nadająca, stanowi podstawę tego dzieła ludzkości i poświęcenia się, bo szlachetni zakonnicy bez żadnego religijnego ani moralnego przymusu udają się na górę ś. Bernarda. Skoro ukończą swoje nauki w nowicjacie wybierają tych którzy mają dość sił i powołania aby wytrwać przez siedem lat w tej pustyni. Jeśli przyjęli już na siebie ciężkie te obowiązki wypełniające z najspokojniejszą rezygnacją, chociaż te obowiązki ukracają im połowę życia, i tym którzy je wypełniają nie zapewniają ani nagrody ani godności. W tym przykreu klinacie, nikt nie przeżyje lat czterdziestu, a te siedem które są przeznaczone podkopują zdrowie szlachetnych ofiar dobrowolnego poświęcenia, bielą włos i przedwczesną starość przynadają. Jednakże to życie na górze S. Bernarda musi mieć jakiś szczególny urok bo wysłużeni już ojcowie, którzy miesz-

kają w przyjemnym klasztoru w Martigny, często przybywają tu aby parę tygodni w dawnych swoich celkach przepędzić.

W dniu w którym przybyliśmy do klasztoru, był właśnie obecny najstarszy zakon: mówiłem z nim długo, a on okazał się gotowym we wszystkim moją ciekawość zaspokoić, i odpowiedzieć na pytania, które mu zadawałem względem początku i postępów tego zakładu.

Najpierw zapytałem go w jakim wieku wykonał śluby zakonne.

— Było to, dnia 1 Stycznia 1789 roku, miałem wtedy lat dwadzieścia pięć....Dziwne i okropne rzeczy działy się wtedy. Pan jesteś młody, możesz długo żyć jeszcze, ale nie ujrysz podobnych okropności; terażniejsi ludzie nie są tak bezbożni jak w przeszłych wiekach!

— Tak jest, był to czas okropnych wzburzeń, ale tu tak daleko od miejsca tych okropności, jakże mogliście od nich ucieść?

— My sami nie ucierpieliśmy, ale biedni, którzy sądzili, że nigdy dość daleko uciec nie mogą aby się od rusztowania zabezpieczyć, ci nieszczęśliwi przybywali do nas w politowania godnym stanie. My tu na górze, przyzwyczajeni

jestemy do widoku nędzy, kiedy z pod lawiny śniegu wydobywamy całą rodzinę, z której połowa już nie żyje, jest to okropny obraz, ale nie da się to porównać z tém co wielu w owym czasie wycierpiało. Raz przybył ojciec który swoich synów i córki zostawił w niebezpieczeństwie śmierci, i drżał codziennie, żeby nie wyczytał ich imion na okropnej liście ofiar; to znów matka w pół naga, niesąca swoje drobne dzieci umierające prawie z głodu i zimna! Biedne kobiety które przyzwyczyły się chodzić na tej ziemi po miękkich aksamitach i jedwabiacach!

— A później cóż się tu działo?

— Przez kilka lat klasztor nasz zamieniony był w garnizon. Francuzi, Austriacy, zmieniali się kilkakrotnie, waleczono w dolinach, waleczono na górach, sale nasze ciągle napelnione były rannymi i chorem.

— Kogoż wolelibyście, Francuzów czy Niemców?

— Nie rozumiem pana, dla nas nie ma Francuzów ani Niemców; my żadnej nie czynimy różnicy między narodami i wyznawcami. Ktokolwiek próg nas przestąpi jest naszym bratem, i otrzymuje swoją część z tego co posiadamy.

— Pójmuje, że wasza ludzkość równie się rozciąga na cały ród człowieczy; jednakże w gruncie serca musicie komuś pierwszeństwo zostawić.

— Masz pan słusność. Człowiekiem którego za wielkiego uważamy, jest Napoleon. Napis wyryty na tablicy marmurowej nad wielkimi schodami głęboko tkwi także w sercu każdego z nas. On nas dobrodziejstwami obsypał. Widzisz pan ten piękny obraz pędzla Tycjana nad ołtarzem, to jest podarunek od niego. Dał on nam szpital na Simplonie, obficie go uposażywszy. Kazał dla nas zbudować klasztor na górze Cenis; przez wiele lat summy które nam przesyłał, uwalniały nas prawie zupełnie od potrzeby zbierania kolekt; rozszerzył on nasze posiadłości w Piemontcie, które były naszym najpiękniejszym dziedzictwem.

— Jak to, czyliż już nie są teraz waszą własnością? (Słyszałem o tém wydarciu zakonnikom ich własności, i chciałem dowiedzieć się bliższych szczegółów z ust wiarogodnych.

— Nie, mój panie.

— Chciejcie eż mi powiedzieć jak to się stało?

— Z całego serca, ale aby dobrze zrozumieć nasze prawa do téj posiadłości, muszę cofnąć

się aż do epoki początku naszego zakładu.

Było to około 970 roku, kiedy nasz przewielebny patron, prosił arcy-biskupa w Aosta, o ustąpienie góry Jura, aby tam założyć klasztor; czcigodny prałat przychylił się do tej prośby; góra przybrała imię s. Bernarda, zakonnicy św. Augustyna osiedli tam i z pomocą mieszkańców z Martigny i Aosta, wprędce wzniosła się budowa którą widzicie.

Wkrótce podróżni przybywali do nas w tak wielkiem mnóstwie, że mieszkańcy Wallis i Piemontu zakon nasz w obwodzie Martigny i Aosta, niezmiernemi posiadłościami wzbogacili; postanowiono że klasztor nasz będzie domem przytułku a posiadłości nasze grantowe, nie będą mogły być przedanemi. To było słusznie, bo co my posiadamy, nie należy do nas, ale do tego który tu przyjdzie aby swoją część otrzymać. W skutku tych darowizn, stan nasz bardzo był pomyslnym. Piemont dostarczał nam oliwy, ryżu i zboża. Walis żywił nasze konie i bydło, a jego lasy, dawały nam drzewo na ziemię. Porozumielimy się z Maronjerami, silnemi góralami którzy na najwyższych szczytach Alp swoje siedziby mają; ludzie ci przywykli do wszelkich trudów;

w swoich polowaniach na dzikie kozy, zuchwale wystawiają się na największe niebezpieczeństwa, i biegają po śniegu i lodzie jak po twardej ziemi. Dziesięciu lub dwunastu z nich przepędza u nas zimę, płacimy im i żywiemy ich dobrze, a oni codziennie chodzą szukać podróżnych po obu stronach góry.

Zdziwisz się pan, że nasz klasztor tak znacznych potrzebuje dochodów, ale widzisz pan; jest nas piętnasta duchownych, dziesięciu maronjerów i dwunastu posługaczy, to jest około czterdziestu osób, podróżni otrzymują wszystko bezpłatnie, a rocznie bywa ich tu dwanaście do piętnastu tysięcy; wprawdzie bogatsi podróżni ofiarują nam pieniądze, ale te wydają się na ich wyszukanie potrzeby. Możemy utrzymać pięćdziesiąt koni, dla zwożenia do klasztoru drzewa i innych wszelkich potrzeb życia, a wiesz pan, że ztąd do Martigny jest dziewięć mil z okładem.

W zimie bywa tu trzydzieści i więcej stopni zimna, i to w miejscu gdzie nie ma nie prócz powietrza i wody, sądz pan jak znaczne muszą być wydatki na nasze i podróżnych potrzeby! Żyjemy teraz jeszcze tutaj jak w raju, bo w końcu

cu zeszłego wieku mieszkaliśmy między czterema murami bez pieców i podłogi, w zimie trudno było utrzymać w naszych celkach temperaturę na pięć stopni ciepła; wszędzie panowała nieznośna wilgoć.

Podróżni genewscy, panowie Saussure i Pictet, znakomicie przyłożyli się do poprawy naszego sposobu życia; pan Pictet, w Genewie, która jest miastem protestanckim, zebrał dostateczną ilość pieniędzy, do sprawienia podłogi w naszych salach i celkach: pobudował te ogromne piece, które utrzymują teraz potrzebny stopień ciepła, i jemu wiśniemy, że możemy teraz znacznieszą liczbę podróżnych dobrze przyjąć....Cześć i błogosławienstwo jego pamięci.

Było nam przeto bardzo dobrze, aż do czasu nieporozumienia o granicę, nie było dostatecznie postanowioném, czy klasztor nasz należeć ma do Szwajcarji czy do Piemontu. Król Sardyński chciał nas mieć pod swoim panowaniem. Postanowiono nakoniec że mamy należeć do kantonu Valis; wtedy król Sardyński oświadczył, iż gdy klasztor nie należy do Piemontu, powinien przeto stra-

cić prawo posiadania choćby piędzi ziemi w tym kraju i że on sobie zatrzyma wszelkie nasze posiadłości w jego państwie; sprawa poszła do Rzymu, Jego świętobliwość apostolska przyznała słuszność królowi Sardyńji!... a my, ulegliśmy...

Tylko naszym związkowym winniśmy możliwość zniesienia tej straty, bo ich kolekty w trójnasób powiększyły się od tego czasu.

— A z darów Napoleona, cóż wam pozostało?

— Klasztor na Simplonie, i to co do niego należy.

— Mówiliście mi, ojcze, że przez siedm lat zakonnicy pozostają w tém miejscu; czy też ślub jest nieodwołalny?

— Owszem, mój panie, jeśli zakonnik czuje że to położenie jest dlań nad siły, może udać się w każdej chwili do Martigny; u nas, poświęcenie się nie ma żadnej ceny jeśli nie jest dobrowolé. Taż sama liczba lat przeznaczoną jest dla posługaczy, psy nawet, po upływie sześciu lat odsyłane są do Martigny i żywione są póki żyją, albo też sprzedają się osobom znajomym. Konie służą u nas lat dziesięć, po

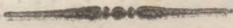
których upływie, odsyłamy je w doliny; gatunek ich jest bardzo poszukiwany ale my odstępujemy je tylko osobom u których możemy być pewnemi że dobre będą miały pożywienie i obejście.“

!

Po tej rozmowie, byliśmy wszyscy na nabożeństwie które tklive wrażenie na nas uczyniło, Kiedy zakonnicy rozeszli się, okazano nam relikwie świętej Faustyny. Wyszłe zwłoki obwinięte są kosztowną jedwabną materją, głowa ręce i nogi są z rzadką dokładnością z wosku wyrobione, i święta zdaje się być w głębokim śnie pogrążoną.

Dzwon refektarza wezwał nas do stołu; wszedłszy do klasztoru, dowiedzieliśmy się że przybyło pięćdziesięciu podróżnych. Otrzymaliśmy pozwolenie wieczczenia z zakonnikami, podczas stołu rozmowa była razem żywa, poważna i wesoła. Nie mogliśmy się dostatecznie wydziwić wykwiatnej prostocie zakonników, których od-

znaczące się obejście, wyrównywało najdelikatniejszemu postępowaniu ludzi światowych, wyższego tonu. To potwierdza nam to zdanie, że prawdziwa grzeczność z serca pochodzi.



ŻYCZENIE.

Gdybym był wiatrem, i wiatru lotem,
Przez łąki, lasy, strzały migotem,
Mógł raz choć do niej pogonić;
A później lubc, białe ramiona,

Gorącym tchnieniem chwilę osłonić,
 I raz przytulić do mego łona,
 I raz całusek złożyć na usta,
 Niepostrzeżony i niepoznany....
 Lecz wiatrem zostać, myśl dzika, pusta,
 Możnaż się zmienić w wiatru bałwany?

* * *

Gdybym był orłem—i orła lotem,
 Przez lasy, łany, strzały migotem,
 Mógł raz choć do niej pogonić,
 Znaleść ją, usiąść na białe ramie,
 I piosnkę smutku w ucho zadzwonić.
 I przy niej lezkę żalu uronić,
 I przy niej stanąć—w wieczności bramie,
 Lecz myśli dzika, jak orłem zostać,
 Człowiek czyż może wziąć ptaka postać.

* * *

Piosnkę zanuce, piosenki słowa
 Nie będą na wiatr puszczone,

Oddam druhowi—on ją zachowa.
I choć już nie raz trawy zielone,
Jesień pożóci, gdy ją spostrzeże,
Tę jej piosenkę zaśpiewa mile,
I odda wierszyk w ofierze,
Choć ja....już będę w mogile!

W. L. z M,



POŁOWANIE

W EGIPCIE.

(Z opowiadania lekarza francuzkiego.)

Szczególnie lubię sobie przypominać moje myśliwskie wycieczki w Egipcie, te obszernie przeszerzenie, które z fuzją na ramieniu, po dolinach, pustyni, albo nad brzegami jezior i po gajkach,

przebiegałem. Egipt w tym względzie mało jest znany, i wielu także nie wie, iż kraj ten nadzwyczajnie obfitym jest w wszelki rodzaj zwierzyny, a w niektórych okolicach znajdują się w nieprzeliczonej ilości zające i dziki.

Wieśniacy arabscy mało znajdują upodobania w łowach, czyto z lenistwa; czy z ubóstwa albo łagodności charakteru, czy z wszystkich trzech przyczyn razem, tego nie wiem; ale najprędzej zgodziłbym się na to ostateczne zdanie. Prócz tego nie lubią oni wcale zwierzyny, przeładają baranie mięso nad jakie bądź inne. Ich wstręt do polowania ma także źródło swoje w szczególne wyobrażeniu o przyszłości zwierząt, które podług ich zniemania, muszą także stanąć na sądzie ostatecznym, zdać sprawę z swoich czynów, i odebrać za nie karę lub nagrodę jak ludzie. Nawet w samej nienawiści dla psa i świni, które koran nazywa nieczystymi, okazuje się ich duch litościwy; dotknięcie tych zwierząt jest dla nich plamą, która szczególnego oczyszczenia wymaga, jednakże przykroby patrzyli na tego, kto by te zwierzęta zabijał albo przynajmniej źle się z nimi obchodził; w tem różnią się oni od ży-

dów, swoich przodków, którzy wzdobytych miastach wszystko mordowali, nawet osły Filystynów.

Wiedzą oni, że prorok lubił szczególniejszy kochanie. Matki opowiadają dzieciom, jak ten twórca ich religji, wołał uciąć kawałek swego kaftana, aniżeli przebudzić śpiącą na nim ulubioną jego kotkę. Z tego powodu kotka jest przyjaciółką domu, i nie raz zapisują jej pensję dożywotnią w testamentach. W Kairo niedaleko bramy zwycięstwa, jest szpital zwierząt, do którego przyjmują stare i pozabawione pana kotki; nie raz widziałem okno tej budowlki napełnione mężczyznami i kobietami, podającymi przez kratę pożywienie tym zwierzętom i sam stałem nie raz przez kilka chwil, przypatrując się tym inwalidom. Koty te miały w fizjonomji swojej wyraźny charakter zakony!

Pomiędzy świętymi ptakami, biały Ibis, ma tak ważne przywileje, że zabicie jego, uważane jest jako ciężka obraza pana Boga; ponieważ uważają tego ptaka jako symbol niewinności i znak błogosławieństwa dla uprawiających pole. Dowiedziałem się o tem z doświadczenia.

Zostawszy ornitologiem z braku innego zatrudnienia, przechadzałem się dnia pewnego po polu, aby powiększyć mój zbiór ptaków wypchanych; wkrótce postrzegłem za pługiem oracza liczną gromadą ibisów, które ostro odbijały się swoją śnieżną białością, od czarnego koloru ziemi. Zbliżyłem się, wziąłem na cel, strzeliłem, i szybko poskoczyłem aby zabrać czterech którzy padli od strzału; ale stanąłem pomięszany, widząc że Fellah odstąpił od pługa, spuścił oczy w ziemię i zaczął się modlić.

— Szanowny Szejku, rzekłem zbliżając się do niego, nie odwracaj oczu twoich ode mnie z wstrętem; jeśli co złego uczynilem, naucz mię. Bóg karze złość, ale nie niewiedomość.

Spojrzał na mnie i twarz jego wypogodziła się.

— Tak, bezwątpienia; popełniłeś czyn występny, zabijając tego ptaka, którego Bóg corocznie zsyła nam dla pobłogosławienia naszej pracy. Od pierwszego dnia chodziły one za moim pługiem; ale ponieważ nie wiedziałeś żeś źle czynił, niech ci Bóg odpuści.

— Mój szejku, rzekłem, aby naprawić mój błąd, przywróć temu ibisowi pozór życia

wprawdzie moc moja dalej nie sięga; bo Bóg tylko zdoła go zupełnie ożywić.

Te ostatnie wyrazy wprawiły go w nadzwyczajne zadziwienie, ale zarazem dotknęły jego serca i zjednały mi jego przyjaźń. W kilka dni potem, ujrzałem go znowu orzącego; był zadowolony; ibisy w wielkiem mnóstwie postępowały za nim. Ponieważ wypchałem owe zabite przed kilku dniami, pokazałem mu je stosownie do przyrzeczenia; niezmiernie się zdziwił, i uważał mię prawie za czarownika.

W skutku ubóstwa Egipcjan, które nie pozwala im kupić sobie flintę prochu i ołowiu, w skutku lenistwa, które unika trudów polowania i nakoniec w skutku ich łagodności i religijnych przesądów, rozmnaża się u nich zwierzyna jak gwiazdy na niebie albo piasek w morzu.

Trudno wierzyć nie widząc, że kaczkę przyglądają się człowiekowi który stanie na brzegu jeziora, zając ociera się przebiegając o nogi wieśniaka, bekasy nie zadają sobie nawet trudu ukrycia się w w zaroślach, chmury rozmaitego drobnego ptastwa zasłaniają słońce, a gromady koropatw i przepiórek tamują drogę na polu.

Eedujeni i Turcy, którzy mniej są zabobenni i czynniejsi od Arabów, wyprawiają wielkie łowy w pustyni, których przedmiotem są gazy. Dla człowieka nie ma nic świętego. Widziałem to miłe stworzenie w domach, tak łagodne, tak mi się podobały jego duże oczy, tak lubiłem bawić się z jego ozdobnymi rogami, i nie mogłem pomyśleć żeby je łowiono dla czego innego nie zaś dla oblaskawienia go i chowania żywo. Hammont dyrektor szkoły weterynarji w Abu Zabel, rozproszył moje wątpliwości. Wyprawił on obławę. Dniem pierwój posłał arabów o godzinę drogi w pustynię z poleceniem wykopania w piasku tylu dołów ile nas było, o 500 kroków jedea od drugiego. Trzy godziny przed świtaniem wyruszyliśmy. Niewolnicy nieśli nasze flinty i biegli przed końmi. Złe znaki w powietrzu kazały mi się nie najlepszego skutku łowów spodziéwać; pustynia pokryta była cieniem, kruki z swemi skrzydłami, które czarniejsze jeszcze były niż sama noc, przelatały z lewój naszej strony. Straciliśmy w jednéj chwili ślad kolei którą mieliśmy się kierować, musieliśmy zsiąść z koni i wyteżać oczy aby ją znowu znaleźć. Na szczęście, mieliśmy z sobą latarnię.

przy której hobroczyńnóm świetle, dostaliśmy się na powrót na dobrą drogę. Wcałój tój sprawie nie było nic śmiesznego, wyjawszy Neapolitańczyka, z naszego towarzystwa, który okrył się swoją deką, aby się przespać nim nadejdą gazy.

Na pierwszej stacji cicho zsunął się on z swego osła, wlaźł w przeznaczony dlań dół, i oświadczył, iż dalej ani krokuby nie uszedł. Zanim się rozłączyliśmy, łowczy udzielił nam instrukcję. Mieliśmy przykucnąć w dołach, nosa nawet na wierzch nie wystawić, a oczy i uszy na tężyc, szczególnie przy świetle purpurowej jutrenki, kiedy gazy wracają z puszczy, i wtedy kazano nam strzelać, kiedy przebiegają będą w odległości stu kroków.

Zajawszy miejsce w moim dole, i tylko widząc gwiazdy nad moją głową, a w około puszcę bez kształtu i barwy, porównałem się naturalnie z astronomem który wpadł w studnię; strachem przejmowała mię ta cisza i ta okropna spokojność. „To jest pokój śmierci, rzekłem do siebie, puszcza jest ogromnym całunem, który Bóg nad końcem świata rozciągnie“ i aby jakibądź znak życia dostrzedz, słuchałem bicia mego serca i patrzyłem na spokojny ruch gwiazd.

Kilka chwil szarego świtu, poprzedziło wschód słońca; obfita rosa przemoczyła nas na wskroś pomimo naszych płaszczy. Podniósł się mroźny wiatr od którego zadrżały żółte rośliny puszcy; nie widziałem ani cienia gazeli. W odległości zagrział wystrzał; błogosławiłem słońcu którą mię z mojego stanowiska uwalniało, bo wschód jego był umówionem hasłem naszego zebrania; rozgrzaliśmy się kilku butelkami szlachetnego cypryjskiego wina.

— „Cdziez jest nasz Neapolitańczyk? zapytał ktoś, czy przypadkiem nie miał nieprzyjemnego zajścia z wygłodniałą bjeną? Nikt z nas nie wystrzelił, on zatem będzie miał całą sławę polowania.“

„Gdzie tam, on jest za nadto niezręczny odezwał się drugi.“

— Zaczęliśmy się oddawać niepokojącym domysłom, ale wtém ujrzelśmy go przybiegającego bez tchu.

— „Ach moi panowie, rzekł on, byłem świadkiem cudownej rzeczy, która godna jest być ogłoszoną we wszystkich gazetach Europy.

— Cóż to takiego, signor Pępa? opowiedz nam.

— Ach, moi przyjaciele, (tu wychylił dużą szklankę cypryjskiego, aby wynagrodzić sobie o-

późnienie), dzień zaczął się szarzyć, cały zmieniłem się w oczy i uszy, poznałem dwie gazele, większą i małą która jak dziecko około tamtej skakała, wymierzyłem do młodszej bo mięso jej jest delikatniejsze, większa wpadła na strzał i padła zabita, albo przynajmniej raniona. Biegłem aby ją zabrać, ale wtedy ujrzałem, — najświętsza panno — mała wzięła starą na siebie i uciekła tak prędko, jak tylko nogi jej wyskoczyły mogły.

Głosy śmiechu przyjął ten włoski żarcik, który z zadziwiającą krwią zimną został wymówiony, — „Ci Francuzi, niczemu nie wierzą, mruknęła Neapolitańczyk między zębami, lazaroni słuchali i wierzyli innym wcale rzeczom.

Miałem jeszcze jedną prośbę przeciwować, która nasze łowy smutno zakończyła.

W chwili mego odjazdu, jeden z służących został oskarżony że ukradł proch i szrót. Najpierw zaprzysięgał na Boga, proroka i wszystkich świętych, że jest niewinny, przeszukano go jednak i znaleziono dowody występku w jego kieszeni. Natychmiast został badany, osądzony i ukarany. Położył się na brzuchu, nogi jego zostały przywiązane rzemieniem do kija, który tizymali za końce dwaj inni służący, nakoniec

najsilniejszy z nich otrzymał urząd wykonawcy wyroku i wymierzył mu z całych sił dziesięć razów bykowiecym rzemieniem w podeszwę. Biedak krzyczał, kręcił się i gryzł piasek, wsta- wilem się za niego, ponieważ miał jeszcze drugie dziesięć razów otrzymać. Na prośby moje da- rowano mu resztę. Szybko podniósł się i szedł tak swobodnie i lekko jak pierwej.

Przyzwyczajenie chodzenia bez obawia, odej- muje podeszwom zbytnią czułość; są one tak grube jak funtowa skóra, i nieraz są im obroną od przykrości. Wciążu drogi, pytałem go dla- czego popełnił tę kradzież: — „Zapewne nie dla tego aby pójść na polowanie, ukradłeś ten olów, dla czegoż więc dla takiej drobnostki wy- stawiałeś się na niebezpieczeństwo tak ciężkiej kary i popełnienie występku nie milego Bo- gu?”

— Niech was Bóg błogosławi, miły panie! za wasze dobre słowo. Oto ja się żenię, a nie jestem bogaty, chciałbym na mojem weselu pa- knąć parę razy, bo bez tego smutne gody. Ten proch i olów wpadły mi w ręce, i nie mogłem oprzeć się pokasie.

— Masz tu oboje, rzekłem podając murożek

z prochem i worek z szrótem, a nie kradnij nigdy.

Zapomniawszy o razach które w pięty otrzymał, zaczął skakać radośnie, i nie mogłem przeszkodzić żeby mi ręce i nogi ucałował; jego radość była tak otwarta i naturalna! Małym kosztem uczyniłem człowieka szczęśliwym. Przybyliśmy do szkoły Abu Zabel, której białe mury żywo odbijały od szarej pustyni i zieleności równin. Kilkakrotnie później zapraszano mię na podobne partje, ciągle jednak odmawiałem, ale kiedy przy obiedzie u Hussein Beja zaczęto mówić o polowaniu, opowiedziałem mu to którego byłem świadkiem, przedstawiając mu jak się przy tém zaudziłem.

— „To jest rozrywka dla hołoty, rzekł Hussein Bej, za kilka dni zgromadzą się najświetniejsi strzelcy na polowanie królewskie, czy chcesz pan mieć w niém udział? Na czarne oczy hurysek, przyrzekam panu rozkosze.

Skusiłem się, dałem się uwieść, i wpisałem się na listę, a w kilka dni, pojechałem z mnóstwem jenerałów, pułkowników, i licznym orszakiem.

Cały dzień jechaliśmy w pustyni, wieczorem rozbito namioty. Hussein który tém polowaniem kierował, nie zaniedbał niczego. Przygotowano wyborną wieszę, którą uwieńczyła w końcu upieczona w całości owca. To jest uczta godna Paszy, mówili Arabowie. Szampańskie, burgandyjskie wino i Bordeaux, ożywiały turecką powagę. Hussein utrzymywał że zakaz wina jest starym i zapomnianym zwyczajem, że Machomed chciał unikać tylko zbytniego opilstwa, i że kiedy sultan nie uważa sobie za występki, skosztować wina Europejskiego, każdy z wiernych jego poddanych śmiało może naśladować ten przykład.

Czysta Mokka wprawiła nas w lekkie odurzenie, a dym Dżebeli okrył nas wonnym obłokiem. Noc zaszła nas w pośród słodczy tego spoczynku bez myśli, który Turcy nazywają keef, a o którym, tylko mieszkańcy wschodu mają jakieś pojęcie.

Hussein wstał i rozesłał w różnych kierunkach wielką liczbę służących z pochodniami, mieli oni przebiegać przez całą noc po pustyni, i zganiać gazy w jedno miejsce. To oświetlenie czyniło nader malowniczy widok; w każdym punkcie widnokregu okazywały się i znikwały te światła;

podobne one były do błędnych ogników, skaczących w przestrzeni. Kiedy ich nie było już widać, wróciłem do mego namiotu, i wkrótce zasnąłem. Nim zamknąłem oczy, spojrzałem na niebo. Było ono jasne i pogodne, i zdawało mi się, że gdybym podniósł się na nogi, mógłbym gwiazdy rękami łapać.

Nazajutrz zrana wstałem, kiedy już pustynia jasno była oświetlona. Słońce osuszyło rosę nocną; czyniono różne przygotowania, każdy oglądał czy strzelba jego w dobrym jest stanie osiodlano konie i szybko dosiedliśmy ich, usłyszawszy okrzyki w różnych stronach; byli to powracający słudzy. Wielkie mnóstwo gazeli pokazało się prawie przy samych namiotach, i to było hasłem rzezi. Puszczono sokoly, wzniosły się one w powietrze, przez chwilę unosiły się jakby szukając ofiar, i potem prostopadle spadły na głowy gazel.

Smutny to był widok, jak one bronily się i czynily nadzwyczajne skoki i wysilenia; sokoly siedziały na ich głowach pomiędzy rogami i co raz silniej zapuszczały swe szpony. Okropne krzyki boleści, kiedy drapieżne ptaki wydziobywały oczy biednym gazelom, rozdzierały mi serce; za uciekającymi poszczwano charty. Strzel-

cy zabijali je strzałami z flint, albo razami lanc. Hussein, który jest doskonałym strzelcem, zabił dwie w najsilniejszym galopie. Ja mógłbym być istotnie umyć ręce w tej krwi niewinnej, Hussein ofiarował mi dwie które ubił, i przekonałem się później, że mięso ich jest istotnie bardzo delikatne.

BAL**I****P R Ó Ż N O Ś Ć.**

— A zatem twojém stałym postanowieniem jest nie pójść?

— Najstałym! odpowiedziała *Emilja* narzecona *Fryderyka*, który jój pytał.

— A więc moje pokorne gorące prośby nie mogą cię skłonić do poświęcenia dla mojej miłości, twójego próżnego kaprysu?

— Już dawno powiedziałam, i nudzi mię słuchać ciągle jedno. — To rzekłszy, Emilia z dumna uczuciem wyższości z sładko pochlebną próżnością i przekonaniem, że Fryderyk, jakkolwiek to zdałoby się niepodobnem, ulegnie jednak w końcu jęj woli, odeszła do przyległego pokoju, zostawiając gęęboko zasmuczonego kochanka.

Na krzesłach w pokoju Emilji leżała suknia atlasowa z innymi świetnymi częściami stroju balowego. Z tego możemy odgadnąć, że bal był przedmiotem o który dwaj kochankowie — bo tak słusznie możemy ich nazwać — poróżnili się między sobą. Emilia przyrzekła uradowanemu narzeczonemu, że pójdzie z nim na bal dzisiaj. Wszystko było przygotowane. Fryderyk przybył zabrać swoją piękną narzeczoną, ale tym czasem szatan dumy i wyższości urodzenia (oboje kochankowie pochodzili z szlchetnych rodzin) zasiał kękol na polu radości. „Mieszczanka ma być dziś na balu, który dotąd liczył zawsze same wyborowe towarzystwo“ ta wieść przebiegała lotem błyskawicy po mieście, i Emilja była

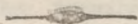
tyłe stałą w swoich zasadach dumy, że nie wahała się poświęcić im nawet rozkosze tańca. Daremniemi były wszystkie prośby Fryderyka; daremniemi wszelkie dowodzenia, i ta uwaga, że kilku znakomitym osobom uroczysto przyrzekł być na tym balu z swoją narzeczoną. Względy jakie tym osobom był winien, przymuszały go być koniecznie na téj zabawie, chociażby ona żadnego powabu dlań nie miała w nieobecności Emilji.

— Napróżno czekasz! rzekła Emilia stałym tryumfującym tonem, wracając do pokoja, w którym zostawiła kochanka, idź sam, jeśli.... Emilia przerwała sobie, bo mógł by długo jeszcze mówić nie otrzymawszy odpowiedzi, oddech zatrzymał się w piersiach upartej narzeczonej! — Fryderyk już był odszedł.

W obszernej sali balowej, która mogła bez potrzeby zarumienienia się, pozwolić przyglądać się tyłu wielmożnym jaśnie wielmożnym a nawet oświeconym gościom, i deptać się tyłu wy-

kwintnie ubranym nogom i nóżkom najdobrze-
szego zgromadzenia, panowało wesołe życie,
pomnożone licznymi zwierciadłami w których
powtarzały się wielokrotnie tysiączne świece i
drogie kamienie, jaśniejące na głowach i w stroju
licznych młodych piękności. Był to bal świe-
tły w każdym względzie; sala wielka, wspania-
ła, wielkie, nader świetne towarzystwo. Już
pierwsi mistrze Terpsychory, Strauss i Lanner
przejmowali swoją zywiczną elektrycznością ner-
wy nożne obecnych, tak iż drganie przepływało
jak błyskawica [przez całe ciało do najdelika-
tniejszych i najskrytszych komórek serca. Wszyst-
ko było życiem, od poczynającego żyć, do znu-
żonego bytem inwalida, od nowicjusza balowego,
do najwysłużeńszego wielbiciela Euterpy i Ter-
psychory. Wszystko było melodją zgodném
brzmieniem radości. Tylko jeden wposród
wszystkich zdawał się być przez jakiś dziw nie
dotkniętym łaską czarodziejską zabawy. Serce
jego zdało się oblane lodem nieczułości, albo
zaciemnione haotyczną nocą smutku. Głowa je-
go, spuszczone była na piersi, oczy utkwio-
ne w ziemię. Nastąpiła przerwa muzyki i tańca,
pełne życia pary pływały po sali i przyległych

pokojach. Znowu zabrzmiały lotne skordy;
znowu taniec uporządkował rozsypane gromadki
Nasz zamysłony nie ocknął się, i zdawał się
nieżywą statua.



III

KRÓLOWA BALU.

— O, patrz! — Z kim ona tańczy! — O, to ona! Ach, to anioł! — To zmysłów pozbawia! — Tak i podobnie odzywało się kilka głosów około zamyszonego, którym był nasz Fryderyk. Wszy-

scy słuchali hołdów uwielbienia, które składano jednej z obecnych piękności, jako ubóstwionej królowej balu. Odosobnienie, w jakim został Fryderyk nie dzieląc przyjemności zabawy, powodem było, iż nie postrzegł dotąd, wzrastającego z każdą chwilą entuzjazmu mężczyzny i w takim samym stosunku rosnącej zazdrości kobiet i panien; aż nakoniec wykrzykniki, które na początku tego ustępu powtórzyliśmy, doszły i do jego uszu.

Fryderyk podniósł oczy machinalnie i pierwsze jego spojrzenie olśniał widok piękności, jakiej w życiu swoim nie widział. Bieg jego uczuć i myśli zerwał się; siedział wprawdzie jeszcze przez chwilę, ale krew zdawała się odmładniać w jego żyłach; posępna chmura, która serce jego zaległa, znikła, i jakby gruba zasłona spadła z jego oczu, nagle jasno w duszy swojej postrzegł, jak nie mężko uległ samowolności dumnej, samolubnej kobiety. Postanowił uwolnić się od téj władzy i być wesołym jak całe towarzystwo; postrzegł że nie powinien czynić dla dumnej narzeczonej tak trudnego poświęcenia, jakie gotów był przed chwilą spełnić. Spojrzenie jego wypogodziło się, jego wzniosła piękna postać podniosła się i poszedł wesołym krokiem wmieścić się w tłumy.

hawiących się, i teraz kobiety miały także przedmiot wyłącznego uwielbienia. Fryderyk tańczył, tańczył z piękną nieznajomą i nim północ nadeszła, szeptano ze wszystkich stron: „To jest, albo będzie para!“ Fryderyk w zamieszaniu najśłodszym uczuć prowadził właśnie nową swoją zdobycz ku drzwiom prowadzącym do pokoju, w którym można było znaleźć rozmaite chłodniki; wszystkie spojrzenia towarzyszyły najpiękniejszej parze, wszyscy o niej tylko mówili; kiedy przeraźliwy krzyk, wstrząsając dobrze znane struny w sercu Fryderyka, doszedł do uszu całego zgromadzenia. Fryderyk drżąc cały, w pomieszczeniu, zaprowadził swoją piękną towarzyszkę zamiast do sali jadalnej, do przedpokoju, i w tej samej chwili, kiedy z galerji niesiono zemdloną dziewczę. Nie wiele brakowało żeby Fryderyk stracił także zmysły, bo tą dziewczęcią była Emilja.

IV

Ż A L.

Emilja wróciła do zmysłów; ale jój szczęście jój piękne nadzieje znikły, i aby dopelnioną była miara jój cierpień, ta która jój najmilszego narzeczonego wydarła, była tą samą mieszczańką,

dla której ona nie chciała być na balu, i tak się srogo obeszła z swoim kochankiem.... W cztery tygodnie po tém, Fryderyk L. i piękna Laura P. byli najpiękniejszą i najszczęśliwszą parą, a w pół roku później, Emilja, była wybladłą, znudzoną życiem, prawie z grobu wydobytą samotnicą, a w drugie pół roku, jak świat mówił, szczęśliwą małżonką innego.

GŁÓW

SWIĘTEGO MARCINA.

Kiedy jeszcze dzieckiem byłam, (opowiadała mi
maja przyjaciółka,) przychodziła do nas niekiedy,
a w święta zawsze, pewna staruszka. Mieszkała ona
w szpitalu, opłacając zszczępłego dochodu, który

przez oszczędność zebrała; ale pomimo ubóstwa porządne jęj ubranie świadczyło o jęj zamiłowaniu czystości i porządku.

Pomimo to, staruszka ta nie miała w swojej powierzchowności tego co wiek podeszły przyjemnym czyni; owszem, opowiadania które zwykle obejmowały cały bieg jęj życia, były niekiedy zbyt nudne. Przyznać maszę, że zawsze chętniej widziałam ją żegnającą się z nami, jak witającą, i że zwykle chowałam się przed nią, chociaż ona nazywała mię swoim najkochajszem dziecięciem, i bardzo pieszczila się ze mną.

Razu pewnego, kiedy jęj nudne opowiadanie przeciągnęło się bardziej niż zwykle, po jęj odejściu rzekła moja matka do ciotki, z niejakim nieukontentowaniem.

— Wolalabym jęj dwa razy tyle dać jeść i pić, byleby tylko nie siedziała mi na karku przez większe pół dnia.

— Dzieci, odezwał się mój ojciec, któremu winnym razie nic niebyło przykrejszém jak podobna rozwlekła gadania kobieca, bądźcie wyrozumiałemi dla staręj B, i darujcie jęj te parę godzin do gadania, co zdaje się jęj przyjemniejszém być niż jedzenie i picie! Pamiętajcie o gęsi świętego Marcina!

— Prawda odezwała się ciotka, o t \acute{e} m nie powinniśmy nigdy zapomnieć; a matka skinęła przyjaźnie, i dodała:

— Nie, tego niezapomniemy!

— Cóż to było z gęsią ś. Marcina, zapytałam matki po chwili, i przysunęłam mój stołeczek do jej krzesła, a matka tak zaczęła opowiadać:

— Wiesz moje dziecię, jak, i dla czego obchodzimy dzień ś. Marcina? (skinęłam potakując, na znak że wiem). Otóż widzisz, teraz nie trudno nam, na ten dzień, albo na inne święto, mieć pieczyste, albo ryby, stosownie do dawnych zwyczajów. Twój ojciec stara się, żeby nam nie zbywało na pieniądzach, potrzebujemy tylko zająć się przyrządzeniem potraw. Ale kiedy w jakiej rodzinie nie ma kochanego ojca, któryby starał się o utrzymanie domu, gdzie ręce kobiece muszą zarabiać na chleb powszedni, wtedy jest to wielkie szczęście, jeśli powszedniego chleba nigdy nie zabraknie. Tak było dawniej u nas, w małym domku twojej babki, kiedy ojciec nasz i opiekun, przeniósł się do lepszego świata. Nie mógł nam więc zostawić prócz tego małego domku, i błogosławieństwa pokoju, pracy i ufności w Bogu. My siostry, musiałyśmy zyciem zarabiać na utrzymanie go-

spodarstwa, którém wewnątrz domu trudniła się matka. Chociaż nasz niebieski ojciec tyle błogosławił naszej pracy, że dochód nasz z każdym dniem wzrastał, i nigdy niedoświadczyliśmy istotnego niedostatku, potrzeba jednak było największej oszczędności, a niekiedy wyrzeczenia się, prawie za nieodbite uważanych dawniej potrzeb.

Naprzykład szabaśnik, który teraz regulannie co niedzielę ogrzewany bywa dla pieczystego, wtedy służył za pewien rodzaj chłodnej kryjówki, w której chowałyśmy rzeczy, ulegające prędkiemu zepsuciu.

W większe jednak święta, jak naprzykład w dzień św. Marcina, wypróżniałyśmy szabaśnik, aby w nim gęś lub inne pieczone przyrządzić. Na taki dzień nigdy nam nie zbywało na tém.

Ale jednego roku, spadł na nas bardzo smutny Listopad, przez całą prawie jesień cierpiałymy jakąś słabość oczu, która musiała być zaraźliwą, bo przechodziła od jednej z nas do drugiej. Ta przeszkadzała nam niezmiernie w pracy, musiałymy odmawiać nie jednej roboty, i nie jedna łza wylana z téj przyczyny, przedłużała jeszcze słabość oczu; a kiedy one wyzdrowiały, brakowało nam roboty, i po pierwszy raz z niespokojnością spoglądaliśmy na zbliżającą się zimę.

Jeszcze oszczędniej, jeszcze z większym wyrachowaniem opędzaliśmy nasze potrzeby, aby przynajmniej co tydzień kilka groszy schować.

Święty Marcin już się zbliżał, ale o kupieniu gęsi nie mogliśmy w tym roku ani pomyśleć. Smutno zabłysnął dzień 10 Listopada. Najmłodsza z nas siostr, najweselsza, weszła z pogodną twarzą, niosąc dwie malowane świece, które z swoich kieszonkowych oszczędności kupiła.

Patrzcie, rzekła, oprawiając je w czysto wytarte lichtarze, już nam nie brakuje; byle było jasno i wesoło, to już i wieczór św. Marcina dostatecznie będzie obchodzony.

Matka uśmiechnęła się smutno.

— Czy też kupiłaś dobrej szarej kapusty?

— A jakże, odpowiedziała wesoła Krystyna, tak dobrej i pięknej jak już dawno nie miałyśmy, i do tego jaka baranina *) upieczemy ją pięknie, rumiano, i będziemy miały przepyszną biesiadę.

W tej chwili usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Pani B zadrżała do izby, pytając czy nie mogłaby o jedną rzecz prosić.

*) W niektórych okolicach Niemiec, oprócz gęsi, używanemi powszechnie na św. Marcin potrawami, są, kapusta szara i pieczeń barania.

B, służyła dawniej w naszym domu, pielęgnowała dzieci, a później jako porządna i dobra gospodyni, nie raz nam w słabości albo smutku rąda i czynem stała się pożyteczną. Teraz była wdową, i jak my, żyła z pracy rąk własnych.

— Mam wielką prośbę, rzekła nieco pomieszana, jeśli państwo nie zechcecie wziąć mi za złe. — Państwo dopiero po południu potrzebować będziecie pieca.

Nikt nie odpowiadał. — Chciałam więc, mówiła dalej B. prosić o pozwolenie upieczenia tu mojej gęsi przed południem. Dla mnie nie to nie będzie szkodzić, że ja jeść będę na wieszakach, odgrzewaną.

Ach pani B, jeśli chcesz piec po południu, rzekła moja matka, nie nam przez to nie przeszkodziś, bo my naszą biesiadę przyrządzamy na kominie.

— A, jeśli tak, odpowiedziała B, miarkując rzecz cokolwiek, to jeszcze lepiej. Więc państwo pozwalacie.

Matka przyświadczyła, a B. udała się do domu.

Po południu, o właściwym czasie, przysłała ona niosąc przed sobą świetny półmisek z tłustą białą gęsią, pełna wewnętrznej pociechy. Kiedy nasza matka chwaliła piękne pieczone, B. oświadczyła,

iż nie smakowałoby jój przez pół tyle, gdyby me starała, jakie miała około utuczenia, i że największą radość w tém ma właśnie, że tak pięknie uwieńczone zostały jój zabiegi.

Dobra B, jest bardzo biegłą gospodynią, mówiła moja matka do nas, przy małym zarobku, jaki mieć może, zdołała jednak tyle oszczędzić, żeby wieczór S. Marcina obchodzić podług zwyczaju dawnego. Zasmuciły się nieco twarze nasze, na te słowa, nie była to zazdrość, nie, a jednakże cokolwiek byliśmy nie wesole.

Zegar wieżowy uderzył trzy kwadranse na piątą. Szybko wysunęła Krystyna na środek izby biały stół lipowy, nakryła go pięknym w deseń obrusem, położyła oprawne w srebro noże obok kształtnie poskładanych serwet, i z uderzeniem piątój, z pierwszym uroczystym odgłosem dzwońów, zapalono świece i zasiadłyśmy wokoło stołu. — Półmisek z szarą kapustą i pieczenią baranią dymił się bardzo powabnie; białe bulki i świecące się jak srebro talerze, nadawały nakryciu powierzchowność świąteczną. — W chwili kiedy matka przeżegnała się dając hasło do uczty, zawołał jakiś głos przez lekko uchylone drzwi:

— Czy wolno wejść gościowi?

— Prosiemy, zawołała matka z radością, gość w domu ś. Marciana jest zawsze pożądanym! I pani B, weszła niosąc na świetnie błyszczącym czystością półmisku, rumiano upieczoną gęś; skłoniła się przyjaźnie z pomieszczeniem na prawą i lewą, zadziwiona spojrziała na stojący stół, i postawiła na nim w posrodku półmisek z gęsią.

— Co to znaczy, pani B, co pani czynisz, pytał się głos jeden i drugi. Ale pani B była tak pomieszana, że nie prędko zdołała słowo przemówić. Nakoniec widząc i nasze pomieszczenie, rzekła prawie trwożnie.

— Nie gniewajcie się państwo i nie chciejcie mię zawstydząć, nie miejcie mi za złe jeśli niedobrego co uczyniłam. — Myślałam sobie, że byłoby bardzo dobrze, żebyśmy razem dzisiaj wieczór święcili, u siebie w domu musiałybyśmy sama siedzieć, to tak przykro; — ale jeżeli...

— Oh, nie, nie, kochana pani B, rzekła moja matka zaczynając ją za rękę i prowadząc do stołu, nie odejdziesz. Teraz dzieci, ani słowa więcej, znówmy modlitwę. Umilkły wszystkie głosy, wszystkie oczy schyliły się, może ukrywając łzę czułości i z złożonymi rękami odmówiliśmy cichą modlitwę, a potem ochoczo wzięliśmy się do uczy, i spędziliśmy wesoło, tak jest moje dziecię, bardzo wesoło, wieczór św. Marciana.

Na tém skończyła moja matka swoje opowiadanie, i patrzyła na mnie z uśmiechem, ale w jej oczach łzy błyszczały. Dla czego i mnie tak było, jakbym potrzebowała płakać, nie wiedziałam wtedy, rzekłam tylko: „Matko, już nie będę nigdy niegrzeczną, jak przyjdzie pani B, nie będę się chowała, będę ją bardzo kochała.“ I od téj chwili zupełnie mi się inaczej wydawała; chętnie siadałam przy niej, głaskałam jej stare pomarszczone ręce, i uczyłam się z jej ust nie jednę zajmującą powiastki.

REKA**WOSKOWA.**

Powóz zaprzężony stał już przed dużym domem pana B. . . . spaść konie były z niecierpliwością kopytami w ziemię, a woźnica długiemi oczekaniem znudzony, poziewał. W sieniach owe-

go domu stała Klotylda; nadobna synowica gospodarza, w wytwornym stroju balowym, obok niej zaś stryj jęj również uroczyście ubrany, którego czerstwa twarz nie okazywała więćej nad lat około pięćdziesięciu.

— Dłużęj już nie możemy czekać, odezwał się ten ostatni, po kilkokrotnym spojrzeniu na zegarek, a przynajmniej ty, moja Klotyldo. Dwie godziny czasu potrzebują moje dzielne kasztanki żeby dojechać do miasta, już szósta minęła; o ósmęj tańce się rozpoczynają, a Teobald prosik mię najusilnięj żeby się nie spóźnić, ponieważ chciał z tobą bal rozpocząć. Byłoby to okrutnie, pozbawić cię tęg przyjemności, dla tego zarzuć na siebie salopkę i dalej do karety. Panna pokojowa pojedzie z tobą dla towarzystwa, a ja zaczekam jeszcze na przybycie młodego jegomości. Jeżeli się nie nadto spóźni, to każę zaprządź gniadoszów do koczuka i z nim przyjadę za tobą. Jeżeliby wszelako był zmordowany, albo wcale nie nadjechał, to się i bezemnie będziesz mogła dobrze bawić. Śmiać się muszę z siebie samego, że tak wiele ceremonii robię z tym panem Bothmar, ale ponieważ mi go nader mocno polecik nasz przyjaciel Schlosser, czuję ścniekać że mu to się należy.

Klotylda pozwoliła wygadać się stryjowi; powierzchowność jej nie zdradzała bynajmniej niecierpliwości, mniemany zaszczyt rozpoczynania balu z gospodarzem domu, nie zmienił w niczem wyrazu jej pięknej twarzy. Chociaż dopiero dwudziestą wiosną liczyła, należała ona więcej do owych nieco poważniejszych dam, które obojętnie i bez bicia serca, używają ziemskich przyjemności. Pocałowała stryja w rękę uśmiechając się i nućąc arję Osmina z Porwania z Seraju: „Jde! już idę, lecz mój rady słuchaj.

„Zdrajcy Pedrylla staraj się unikać....“

— „Wprawdzie nie mogę wiedzieć, czyli nowy nasz domownik, zasługuje na tak zaszczytny tytuł, jednakże jako nieproszony trzeci, do naszego związku nie zdaje mi się przypadać, a od chwili kiedy się przekonałem, że bojna matka natura, udarowała go nadzwyczajnie długim nosem, naprzód już zapewnić mogę, że go znajdę nieznośnym. Nic na świecie nie masz bardziej odrażającego, jak podobny nadmiar w miejscu niewłaściwym. Od mojej młodości miałem wstręt nieprzewyciężony do długich nosów, dla tego jestem prawie przekonany że ten niezdara nie znajdzie łaski w moich oczach, chociażby zresztą był tak pięknym jak Bózek.

— Tak, tak, stryjaszku, może mniemasz, że będziesz miał przed oczami gotowy romansik, i ja bym się nim chętnie nieco zabawiła. Możebym się dała unieść wygórowanym natchnieniom, do czego nawet czarowne położenie miejsca, piękna pora czasu, kwiaty, słowiki, słowem wszystko zachęca, i życie wiejskie poetyckiem czyni. Ale cóż kiedy poezja i długi nos nie zgodzą się.

To powiedziawszy zarzuciła na siebie Klotylda salopę, dygnęła figlarnie stryjowi i pospieszyła do czekającego na nią powozu.

— Zamów tam dla mnie partję wista, wołał jeszcze pan B. chociażbym nieco później nadjechał.

Klotylda, druga córka jedynej siostry pana B, dawno już zmarłej, bawiła u niego już od trzech tygodni. Pozbawiona rodziców, przebywała ona od sześciu lat u starszej swojej siostry zameźnej, mieszkającej w stolicy D., korzystając z życia spokojnego i przyjemnego, dopóki niespodziany, ale Niemniej natrętny wielbiciel, niezstannemi swojemi staraniami z początku jęj nie znudził, a nakoniec nie przymusił do oddalenia się na czas niejaki z stolicy. Dobry, poczciwy stryjasek B, któremu dawniej na powtarzane nalegania odmawiano przepędzenia letniej pary na wsi z powodu zbyt-

miej odległości i tysiąca innych przeszkód, został teraz uwiadomiony, że nie tylko będzie mógł mieć przyjemność posiadania a siebie siostrzenicy, ale nawet może na w pół drogi naprzeciwko niej wyjechać. Zawiedziony w miłości w swoich młodych latach, postanowił pan B. nigdy się nie żenić, jednakże należał on do nader małej liczby bezżeńców, którzy zachowali przyjemność w towarzyskiem pożyciu i łagodność charakteru. Często czuł on samotność i próżnię swojego istnienia, i nieraz życzył sobie dokonać to, coby w młodości uczynić było należało, ale obawa, że zapewne tylko dla bogactw swoich zostanie przyjęty za małżonka, wstrzymywała go zawsze od tego kroku i tym sposobem został się bezżennym i bogatym spadkodawcą swoich siostrzenic. Przyszłość wszelako musimy na zaletę tym ostatnią, że wolne od wszelkich widoków osobistości, szczerze nieraz namawiały zacnego stryja, iżby sobie dla uprzyjemnienia reszty życia, wybrał godną towarzyszkę. Nie zbywało nawet na propozycjach w tej mierze, godnych zastanowienia, ale, jak powiadano, zbyt uczynna przezorność bezżeńca sprawiła to, że Klotylda, zaawast przyjemnej cioci, znalazła starą, zręczną gospodynię w domu stryja, który umarł zupełnie dla świata i przyjaciół. Lecz

nie mogło to tak zostać. Przywrócony do życia, przez swoją żywość dotychczas uspiołą, zajęty jedynie życzeniem, uprzyjemnienia ile możności; Klodyldzie pobytu jej w jego domu, oddał pan B. dawne swoje znajomości w sąsiedniem miasteczku i okolicach. Z rzekoszą oprowadzał on wszędzie żywy obraz zmarłej a czule kochałej siostry; i z prawdziwie ojcowską pychą przysłuchiwał się pochwałom, jakie jej powszechnie oddawano.

Klodylda nie będąc właściwie piękną, w całym znaczeniu tego wyrazu, należała jednak do nader przyjemnych postaci. Rysy twarzy regularne, oko ciemne, pełne wyrazu, wzrost wspaniały i szlachetny, krasily jej wdzięki pomimo mniej świetnej białości ciała i niedość małych ust. Prócz tego odznaczała się ona wdziękiem, którego mężczyźni nigdy pomijać nie zwykli, to jest: posiadała bardzo małą, kształtną i pięknie utoczoną rączkę i takąż nogę.

Skutkiem starannego wychowania i wczesnego wykształcenia umysłu, zdolności jej, zwykle w tym wieku jeszcze drzemiące, osiągnęły zupełną dojrzałość, i nie dziwnego, że takimi przymiotami obdarzona, Klodylda wnet podbiła sobie przywiązanie stryja, a w sąsiedztwie powszechnie zyskała poważanie. Wieszowano mu zewsząd, że tak sza-

cowny skarb w domu posiada, a młodzi i starzy ubiegali się o względy Klotyldy.

Pan B. odmienił zarazem i swój tryb życia; przyjmował u siebie często odwiedziny z miasta i okolic; bywał w towarzystwach i przekonał wszystkich, że mu tylko niedostawało sposobności błyszczenia korzystnie na wielkim świecie.

Tym sposobem przeszły Klotyldzie pierwsze tygodnie jej pobytu w Berenhofie (tak się nazywała majątność stryja), gdy przyjaciel młodości pana B. niejaki Schlosser, o dwadzieścia mil przeszło od niego mieszkający, zgłosił się do niego z prośbą, aby na czas niejaki przyjął do siebie pewnego młodego człowieka, który w okolicach Berenhofu zamierzył sobie nabyć posiadłość; prosząc zarazem o pomoc i radę dla niego w tym interesie. Jakkolwiek w obecnej chwili nowy przybysz w domu, panu B. nie bardzo przypadł do smaku, nie śmiał jednakże odmawiać usilnym prośbom przyjaciela, i dla tego doniósł mu o swojej gotowości w usłudzeniu, przyczém napomknął o obecności u niego siostrzenicy, i że z tego jedynie powodu zyczyłby sobie, aby w nowym swoim domowniku znalazł człowieka ukształconego, dodając: iż Klotylda przywykła do obcowania z najwykwintniejszą młodzieżą stolicy, nie miałaby pe-

wnie przyjemności z towarzystwa pospolitego wieśniaka.

Przyjaciół Schlosser odpisał: że pan Bothmar ze wszech miar godnym jest jego rekomendacji jako dobrze wychowany, bardzo uczony i utalentowany młodzieniec, że nawet i do piękności mógłby mieć pretensję, gdyby nieszczęściem nos nieco nieforampy nie był temu na przeszkodzie.

Takie zapewnienie, uspokoiło pana B, a Klotylda, jawna nieprzyjaciółka długich nosów, na przód już szydziła i wyśmiewała się z tego niepoczesnego błogosławieństwa natury.

Pan Bothmar, w krótkim lecz pełnym grzeczności liście, ponowił swoją prośbę, i oznaczył dzień 6 Maja na swoje przybycie do Berenhofu. Właśnie tegoż dnia wieczorem, był dawany bal, na który stryj razem z siostrzenicą od dawna byli zaproszeni, i na który jak na początku niniejszej powieści widzieliśmy, Klotylda sama pojechała, z powodu że pan B. oczekiwał zapowiedzianego przybycia pana Bothmar.

Klotylda przybyła dosyć wczesnie aby otworzyć bal polonezem z gospodarzem domu. Uj-

rzała się otoczoną poważaniem i wszelkiego rodzaju uprzejmością, i z dziewiczą pychą napa-
wała się swciat tryumfem, co, jój zabawę nie-
skutecznie uprzyjemniało, tak że po kilku ledwie
godzinach, spostrzegła że jój stryj nieprzybywa.
To opóźnienie niepokoiło ją cokolwiek, i w duszy
złorzeczyła sprawcy onego. Dano znak dostoiu,
muzyka ucichła, i tańce na moment przerwane
zostały, - gdy pan B. ukazał się w sali z swoim
gościem. W czasie pierwszych przywitań z go-
spodarzami domu, miała sposobność Klotylda
przypatrzeć się nowo przybyłemu gościowi. Po-
stawa jego była wysmukła i rosła, i okazywała
człowieka lepszego urodzema. Rysy twarzy z ra-
zu nie przedstawiały nic szczególnego, albowiem
nos w samej istocie tak przeważną rolę na niej
zajmował, że baczne oko dostrzegacza pomimo-
wolnie na nim spocząć musiało, i ledwie tylko
pozwolił mu widzieć okulary na nim osadzo-
ne.

Teraz dopiero zbliżył się pan B. wraz z swo-
im gościem do Klotyldy, która zebrać musia-
ła wszystkie swoje siły, ażeby przytłumić śmiech
pusty, i nie popełnić jakiej niedorzeczności. Mło-
dy jegomość skłonił jój się z pewnem pomię-
szaniem, przez co nabrała nieco pewności; u-

niewinnie swoje opóźnienie, nieprzewidzianym wypadkiem, który go na ostatniej stacji zatrzymał, i prosił o przebaczenie, iż mimowolnie stał się powodem opóźnienia panu B. Przy stole, ponieważ pan Bothmar miał sobie miejsce wskazane zdaleka od Klotyldy, mogła przeto swobodnie, bez ściągnięcia na siebie jego uwagi, oddać się satyrycznym uwagom nad nieumiarkowanie wielkim nosem, który przeszedł nawet jej oczekiwanie.

Po wieczerzy wzięto się znów do tańca i gry, w czem jednak nowy gość czynnego udziału nie miał, ograniczając się na spokojnym zdaleka przypatrywaniu się. Nad switem dopiero nasze towarzystwo powróciło do domu z wielkim uniesieniem, a Klotylda wiernie spełniła oświadczoną w czasie powrotu obietnicę, wynagrodzenia sobie winnego Morfenszowi czasu, albowiem dopiero około południa ukazała się dostatecznie snem pokrzepiona, w pokoju ogólnego zbierania się. Stryj jej zajęty był żywą rozmową z młodym swym gościem, którego zdawał się słuchać z szczególnością upodobaniem. Nos jego, niemniej był uderzającym w oko wśród dnia, jak przy świetle lamp i świec jarzących, jednakże teraz nie był już Klotyldzie przeszkodą w uważaniu dal-

szych rysów jego twarzy, a mała ta lustracja zupełnie na jego korzyść wypadła.

W samą rzecz, trafiał pan Schlosser utrzymywał, że gdyby nie ta wada szpecąca, pan Bothmar mógłby uchodzić za bardzo pięknego mężczyznę. Trzeba było przyzwyczaić się do nieprzyjemnego widoku i przewyciężyć wstret, jaki pierwsze wrażenie zrodziło. Mieli czas niejaki mieszkać razem pod jednym dachem, a stryjaszek, który w niejednej okoliczności był uległym słuzeczką siostrzenicy, byłby niezawodnie w tém zdarzeniu dał jęj uczuć swoje niechęć, gdyby Klotylda w czémkolwiek okazała gościowi jakąś obojętność lub oziębłość. Szczęściem wielkiem, sam pan Bothmar ułatwił jęj chwalebne przedsięwzięcie łagodnego z nim obchodzenia się, albowiem cały oddany swoim interesom, tyle się tylko do Klotyldy zbliżał, ile tego konieczna przyzwrotność nakazywała.

W podobnym sposobie upłynęło kilka tygodni, w którym to czasie pan B. odkrywając codziennie nowe wiadomości i piękne przymioty w swoim gościu, podziwiał w milczeniu jego umiarkowane i nadto ostrożne obchodzenie się z Klotyldą, która przeciwnie zdawała się nie dostrzegać, a przynajmniej udawała, że do tego bynaj-

mniej żadnego znaczenia nie przywiązuje, i tak dzień po dniu jednostajnie przechodził. Jeźdźcono często w sąsiedztwo, przyjmowano towarzystwa w Berenhofie, uczęszczano na wieczory do miasta, a w każdym razie pan Bothmar nie był wyłączanym, albowiem pomimo długiego nosa, został nie długo ulubioną okrasą towarzystwa; dzięki pięknemu głosowi, jaki posiadał.

W dzisiejszych czasach, kiedy muzyka na tak wysokim stopniu stała, i kiedy śpiewanie do dobrego tonu należy, młody człowiek, potrzebuje tylko mieć piękny głos, ażeby się wydobyć z najgłębszej ciemności do najjaśniejszego światła, stać się zupełnie modnym, a tém samym wszędzie poszukiwanym.

Lnbo pan Bothmar nie zaprzeczał sobie w Berenhofie posiadania daru muzycznego, jednakże zręcznie omijał każdą sposobność odkrycia się z nim przed swojemi współmieszkańcami. Zdziwienie zatem Klotyldy było nie małe, gdy razu jednego usłyszała w liczném towarzystwie, pana Bothmar, śpiewającego z wielką pewnością, czystym i pełnym głosem sztukę nader trudną. Nadzwyczajnie ucieszony odkryciem nowego i pięknego w swoim gościu talentu, pan B. obsypywał go pochwałą

ale i małych wymówek nie szczędząc, iż dotychczas pozbawiał domowe jego wieczorki tak miłej przyjemności. Żeby jednak to uchybienie, jak mówił pan B, nie uszło zasłużonej kary, oświadczył, iż trzeba, aby natychmiast śpiewał duet z Klotyldą. Na takie zastrzeżenie, żywy rumieniec wystąpił na twarz młodzieńca, skłonił się nie mówiąc, i przystąpił do fortepianu dla wyszukania w papierach co znajomego. Najprzód wpadł mu w ręce sławny duet Webera z Euryanty: „Odbierz, odbierz moje serce,“ podał go z niejakim pomieszczeniem Klotyldzie, a ta odebrawszy nóty, siadła szybko do fortepianu, i pewną ręką uderzyła czysty akord z C dur. Teraz dopiero zaczął się śpiew lekki, cichy, nieśmiały prawie, a wzmagając się coraz i coraz bardziej, uniósł śpiewających z całą gwałtownością. Tony zdawały się z jednej tylko piersi wydobywać, i przy końcu razem w najłagodniejszym *planissimo* ucichły.

Głośny okrzyk podziwienia i pochwał był udziałem tak dokładnego wykonania pięknej muzyki. Klotylda czuła się zmordowaną i zapewniała, że nigdy nie zdarzyło jój się śpiewać coś podobnie trudnego; gniewając się przytém na kompozytora, że wykonywajacym takie arcydzieło, mało zostawił czasu do schwycenia tchu. I pan

Bothnar zdawał się być zmęczonym, a nawet oświadczył, iż więcej nie tego wieczora nie mógłby zaśpiewać. Ale stryjaszek, namiętny miłośnik muzyki, ścisnął i całował oboje na przemiany, zaręczając, że śpiewany dopiero duet podwyższył ich w jego życzliwości i szacunku przynajmniej o dziesięć procent.

Od owego wieczoru Bothnar zaczął się więcej niejako przybliżać do Klotyldy. Zdawało się, jak gdyby nowo-odkryta między niemi zgodność głosu, zrodziła harmonję duszy. Odtąd towarzyszył jej często w przechadzkach, czytywałrazem z nią, grywał i śpiewał, krótko mówiąc, każdą chwilę którą swoim zatrudnieniom mógł ująć, poświęcał Klotyldzie; a ta przekonała się niebawmie, że pomimo nadzwyczajnego nosa, Bothnar był człowiekiem nader przyjemnym, i godnym kochania. Wiedział on bardzo dobrze o tej swojej wadze, i często żartami, a czasem z rzetelną goryczą nazywał ją zawadą swojego szczęścia.

Bywała także często wzmianka i o nabyciu dóbr, przedmiocie, który Bothnara do Berenicefa sprowadził, a nawet czynił on w tej mierze kilkakrotnie z panem B. wycieczki w okolice; jednakże interes ten nie był z należytą żywością popierany, i tak

upływał miesiąc po miesiącu, a nie stosownego wynalezioném być nie mogło. W końcu też i pan B. zdawał się zapominać o powodach przybycia do niego Bothmara, który codziennie stawał mu się coraz miłszym i pożądańszym. Samo wspomnienie o rozłączeniu się z nim, a nawet z synowicą, przejmowało go strachem, gdy pomyślał, że nadełdzącą zimą przepędzić będzie musiał w samotności. Niekiedy przychodziło mu w ten czas na myśl, ścisłejszym węzłem do siebie Klotyldę przywiązać. Wiedział, że jej serce jest wolne, znał mierność jej majątku, i codziennie odbierał od niej dowody, jak bardzo był jej drogiem. Jednakże głos wewnętrzny zawsze go ostrzegał, aby się z swojemi życzeniami nie odzywał, a skłomana i niewianna Klotylda, która kochała stryja, jedynie jako stryja, nie domyślała się wcale, ażeby w nim innego rodzaju uczucia obudzić mogła. Uważała ona niekiedy, że humor pana B. bywał czasami szczególny, niepójety, ale wszakże sama nieraz miewała godziny i dnie pochmurne, i dla tego miała, że to jest udziałem każdego w ogólności człowieka.

Pewnego wieczoru, kiedy niepogoda nie pozwoliła użyć przechadzki po ogrodzie, zdarzył się wypadek, który dla Klotyldy znaczące miał

następstwa. Spiewała ona z Bothmarem a potem grała na fortepianie Rondo *brillant* Czernego na domaganie się stryja. Zatopiony w przyglądaniu się pięknie utoczonej ręce i paluszkom szybko po klawiszach przebiegającym, stał Bothmar oparty o poręcz krzesła Klotyldy, a uniesiony zachwyceniem, po skończonej muzyce zawołał: Przewybornie! ależ jaka piękna ręka! pan! czy pozwolisz mi wiaść jój odcisk z wosku?

Bładość śmiertelna powlekła twarz Klotyldy; wlepiała wzrok w nierozważnego zapytywacza, i z niepomiarkowaną, z niezwykłą porywcznością wy rzekła: Nie, nigdy!...

— A to dla czego, moje dziecię? rzeknie stryj: twoja ręka warta być z wosku wyciśniętą, a jeżeli pan Bothmar zna się na téj sztuce i chce jój doświadczyć, miło mi bardzo będzie że i ja otrzymam exemplarz pięknego odcisku.

— Nie, nie, to być nigdy nie może! niepodobna! zawoła prędko Klotylda, samo wspomnienie o tém przypomina mi ze zgrozą przeszłość, którą chciałabym uśpić na zawsze, ażeby moja spokojuność na wieki zniszczoną nie została.

Po dobne wynurzenie się z ust eichéj i skromnej Klotyldy, było nadzwyczajnie zadziwiającem. Pan B. zdumiony spojrział na siostrzenicę, a P. Bothmar żałował już uczynionego zapytania. Dręczące milczenie przerwała dopiero Klotylda uchwyciwszy za świecę, życząc dobrej nocy i oddalając się szybko z pokoju.

— Ja to muszę wyjaśnić, pomyślał sobie pan B. inaczéj boję się o tę dziewczynę, i poszedł za nią, ale pod pozorem migreny odmówiła widzenia się z nim.

Nazajutrz przy śniadaniu, ukazała się Klotylda blada i z oczami zapłakanemi. Widocznie przeżyła całą noc bezsennie, a troskliwy stryjasek chciał już do miasta po doktora posyłać. Sprzeciwiła się temu stanowczo Klotylda, oświadczywszy że małe to wstrząśnienie umysłu, samo przejdzie. Pan Bothmar obwinał się że jego mimowolnie i bez żadnej myśli objawione życzenie, sprawiło jéj przykrość, i tém się uniewinnił że nie mógł się nawet domyśleć iżby tym postępkim dotknąć mógł tak czułą stronę.

— Jesteś pan zupełnie wolny od zarzutu wtéj mierze, powie Klotylda rumieniąc się, należy to przypisać raczej przypadkowi, żeś nie wiedząc o-

tém uczynił wzmiankę, która mię najboleśniej dotknęła. Widzę że mój kochany stryjaszek głową potrząsa, powinnam przeto pospieszyć z zaspokojeniem go, chociażby mi przyszło wystawić się na mniejsze korzystne mniemanie jego o mnie. Rozumiałam że długi żal i pokuta zatrze niegdys popelniony bład, a jednak wczorajszy wieczór przekonał mnie że sumienie drzémac może, ale nie zaśnie nigdy. Sama sobie stanowię za karę, wyznać otwarcie bład lekkomyślny mojej młodości. Nie potępiaj mnie drogi stryju i pan także panie Botbmar! Odpokutowałam już za niego, a obecne dobrowolne moje wyznanie, niech także będzie w części zadość uczynieniem.

Cztery lata już upłynęło, kiedy w dziecinnéj rozpuście, popelniałam czyn, którego nieistnienie chętniebym okupić chciała kilkoma laty życia mojego. Na moją obronę nie więcéj przytoczyćbym nie mogła, jak tylko że miałam na ówczas lat szesnaście, byłam pustą i roztrzepaną i powszechnemi pieszczotami zepsutą. Ojciec mój, którego byłam dziecięciem najulubieńszém kazał krótko przed swoją śmiercią, wyrobić z wosku moją rękę, od wszystkich na ówczas uważaną za zgrabną. Widoż figur woskowych

zawsze czynił na mnie nie mile wrażenie. Tajemna jakaś, niepojęta zgroza przejmowała mnie zawsze, ile razy zdarzyło mi się oglądać podobne naśladownictwo natury, a nawet własna moja ręka w odcisku woskowym, nieprzyjemność mi sprawiała. Po śmierci ojca, moja ręka woskowa dostała się do mnie; zamknęłam ją troskliwie do skrytej szuflady mojego biurka, i gdyby nie następujący wypadek, nigdybym już o niej nie pomyślała.

Uciechy i zabawy stolicy, na które dopiero zaczętałam uczęszczać, zajmowały mnie wyłącznie, a maleńkie zojęcie serca nadało im urok czarujący. Mniemałam, że nie ma już wyższego szczęścia ani miłszej rokoszy, jak przepędzić zimę w stolicy wśród podobnych zabaw, i sądziłam, że jestem najszczęśliwszą z śmiertelnych. Pomiedzy innymi uroczystościami, znajdowałam się na pewnym balu maskowym. Chciałam się na nim ukazać w ubiorze szwajcarskim, kawaler zaś wój miał być przebrany za Turka. Spodziewałam się bawić przewybornie i w myśli już wystawiałam sobie całą rokosz *intrygowania* i zabawy. W samej rzeczy początek balu maskowego był wybornym, dostąpiłam celu moich życzeń, lecz niestety otrzymałam więcej niż pragnęłam. Młody Tyrolczyk

który według ówczesowego mojego płochego sposobu myślenia, równie dobrze mógł mi się podobać jak mój Turczyn, gdybym go była pierwój poznała, zdawał się dziwnym sposobem mieć jakiś szczególny do mnie pociąg. Korzystając z przywileju maski, starał się on, ile możliwości zbliżyć do mnie i wynurzyć swoje uczucia. Mój Turczyn sądził się być tém obrażony, czynił mi wymówki, i w końcu zaczął się na prawdę dąsać. Podobny wypadek spotkał mię na ów czas po raz pierwszy. Staralam się jednego ulagodzić, drugiemu odpowiadałam opryskliwie, jednakże ani z jednym ani z drugim do końca trafić nie mogłam. Zabawa była już dla mnie zniszczoną, i chętnie bym zamieniła na samotny mój pokój ów świetny apartament balowy, lecz zbywało mi w ten czas na sposobności i wybiegach, oddalenia się bez ściągnienia niczyjój uwagi. Doświadczeńsze piękności umiałyby sobie w takim razie zaradzić, i na zawołanie miałyby napad mdłości, migreny i t. p., ale ja, dziecko natury, na podobnych fortelach wcale się nie znałam. Musiałam się zatem poddać losowi i zostać. Przy wieczerzy wszyscy odłożyli na bok maski, a w ten czas Tyrolczyk przekonał się, że rysy mojej twarzy nie odpowiadały wyobraźni jego, jaką sobie o moich

wdziękach wystawiał. Widziałam także i jego bez maski. Był młody, ledwo że nie nadto młody, tak przynajmniej wydawał mi się w porównaniu z męzkami zarzysami twarzy, wąsami i faworytami mojego przybranego kawalera, dymisjonowanego oficera od jazdy.

Młodzieniec ten nie musiał jeszcze mieć doświadczenia w sztuce kochania, albo też może nie chciał sobie na złe tłumaczyć niedorzeczne postępowanie roztrzepanej szesnastoletniej dziewczyny, albowiem nie udało mi się przekonać go o moich prawdziwych naówczas myślach, i im więcej namiętniejsza była z jego romantycznej, poetycznej, prawie widocznej deklaracji miłości, im proźaczniej na nią odpowiadałam, tém większe było jego uniesienie, i nie przestawał zapewniać że nie tylko na reductach, ale i w rzeczywistości nigdy nie widział doskonalszej Szwajcerczki. Mój Turczyn zadąsany przyczepił się tymczasem do innej piękności, widocznie, niby chcąc mnie tém udęczyć. Poznałam się na tym wybiegu, a dumna moja obrażona sprawiła, że zaczęła być łagodniejszą z Tyrolczykiem.

Utrudzona na duszy i ciele, nie kontenta z siebie, z officera od jazdy i z całego świata, powróciłam nareszcie do domu. W ten czas całe zda-

rzenie zupełnie inaczej oczom się moim przedstawiło. Sny okropne nie dały mi oka zmrzyć; zdawało mi się, że miałam mocną sprzeczkę z wiarołomnym. On pioranował, ja płakałam, słowem marzenie strapiło mię wszelkimi jakie tylko być mogą przykrościami, i bardzo późno obudziłam się.

Zaledwie się ubrałam, przysłała mię odwiedzić jedna z owych tak nazwanych przyjaciółek, jakich młody wiek ma w obfitości. Zaczęłyś ny rozbierać wypadki wczorajszego wieczoru; wynurzyłam jęj z zupełnem wylaniem serca, doświadczoną przeze mnie przykrość, gdy w tém oddano mi list nieznaną mi ręką zaadresowany, z oznajmieniem, że służący, który go przyniósł, powróci za parę godzin po odebraniu odpowiedzi. Prędko oderwałam pieczętkę w mniemaniu, że list nie może nic innego obejmować, jak prośbę o przebaczenie od mojego wczorajszego Turczyna. Nie zraziło mię pismo obcej ręki, albowiem często odbierałam od niego bileciki słodkie, pod zasłoną adresu nieznaną ręką pisanego. Lecz otworzywszy, ujrzałam z przerażeniem w sercu, że pismo nie od niego pochodziło. Chciałam na bok odłożyć list bez czytania, ale moja przyjaciółka pałała ciekawością i musiałam jęj przeczytać. By!

on od Tyrolczyka. Cała pierwsza strona listu obejmowała zbyt poetyckie opisanie moich wdzięków i wrażenia, jakie one na jego sercu uczyniły. Potém następowało opisanie jego samego jego charakteru, jego położenia, stosunków, i widoków na przyszłość. Był wolnym, niezawisłym, bogatym, i nieupatrywał dla siebie większego szczęścia, jak swoją wolność, niezawisłość i majątek ze mną podzielić. Jzko podróżny przybył dnia wczorajszego do stolicy, szczęśliwa gwiazda zaprowadziła go na bal maskowy. Nieuchronne okoliczności przymuszały go za kilka godzin opuścić miasto, w którym zostawia najwyższe swoje dobro, lecz bez pociechy nie jest w stanie wyjechać, a chociażbym natychmiast nie chciała mu przyrzekać mojego serca i ręki, to prosi aby mu przynajmniej dać jakąś nadzieję, i pozwolenie powrócenia, bez czego życie straci dla niego wszelki powab.

Raptowna ta propozycja zamęścia, uczyniona przez człowieka, którego wcale nie znałam, który mię raz tylko widział i to na balu maskowym, zdawała mi się, jakkolwiek byłam roztrzepaną, wielce awanturniczą i niestosowną. Śmiałam się serdecznie z moją przyjaciółką i przemyślałyśmy cooby z tém zrobić. Ułożyłyśmy zostawić list bez

żadnej odpowiedzi, i zachować go w największej tajemnicy. Na ten cel otworzyłam skrytą szufladę mojego biurka, aby w nią włożyć list na wieczne zapomnienie, gdy wtém wpadła mi w oczy moja ręka z wosku wyrobiona. Jakby od złego ducha podmówiona, nagle przyszła mi myśl, oddać ją mojemu nowemu adonisowi, w zamian odmawianej mu prawdziwej ręki. Nie dałam sobie nawet czasu zastanowić się nad tym zamysłem prawdziwie szkaradnym, nieczemnym; udzieliłam go natychmiast mojej przyjaciółce, która go uznała przewybórnym i dowcipnym, i do wykonania onego nagliła.

Odpisałam zatem w sposobie żartobliwym, przyjmując na siebie wczorajszy mój charakter Szwajcarki, że niespodziewane jego oświadczenie nader jest dla mnie pochlebne, lecz niestety ubolewać muszę, że szacownej ofiary przyjąć nie mogę, albowiem nie mam zaszczytu znać go, a prócz tego moja ręka i serce już komu innemu zostały przyrzeczone. Jednakże żeby mu okazać moją wdzięczność, załączam wierny odcisk z wosku mojej ręki, dla ucukrowania mojej odmownej odpowiedzi.

List razem z ręką zapakowałam, dobrze opieczętowałam i oddałam służącemu z poleceniem, iżby doręczył posłańcowi, który list przyniósł. Cały dzień zszedł na rozmaitych rozrywkach i dopiero w spokojnych godzinach wieczornych, mogłam się z rozwąga zastanowić nad wszystkimi wypadkami dnia upływnego. Ze zgrozą przypominałam sobie moją szyderską odpowiedź, żalowałam — ale już poniewczasie, Com wtenczas cierpiała, łatwo pojmiesz szanowny stryju, albowiem znasz mnie dobrze. Wpadłam w ciężką chorobę, gorączka odprowadziła mnie od zmysłów. Nikt, oprócz wspomnianej wyżej przyjaciółki, nie dociekał przyczyny mojej choroby, a ona miała przyczynę niewyjawiania tajemnicy. Nawet siostra moja, przed którą nigdy nie miałam żadnej tajemnicy, nie dowiedziała się o tym wypadku. W końcu powróciłam do zdrowia, ale spokojność duszy odzyskałam ledwie po kilku latach żalu. Zdarzenie to uleczyło mnie na zawsze od lekkomyślności. Co się stało później z srogo obrażonym przeze mnie młodzieńcem, nigdy się dowiedzieć nie mogłam, pomimo poszukiwań, jakie w skrytości czyniłam. Oh! oby mi chciał przebaczyć! to jest jedyne moje życzenie!.....

— A co się stało z pani uprzywilejowanym kochankiem, zapytał Bothmar!

Ożenił się z ową osobą, której na balu maskowym nadskakiwał. Wprawdzie powracał on skruszony błagać u nóg moich przebaczenia, ale powyższy wypadek otworzył mi oczy, stałam się rozważniejszą, uważałam w nim człowieka pospolitego, i nie trudno mi było zerwać słabą przędzę naszego romansu.

Odzyskałam moją dawną wesołość i spokojność. Głos wewnętrzny zaspokajał mię, że on mi przebaczył, a tak czas działał to, o czém wątpiłam; — wypadek ten zatarł się w mojej pamięci. Życzenie pana Bothmar, posiadania woskowego odcisku mojej ręki, obudziło na nowo dawne wspomnienie, i przekonało mnie, że obelga, jakiej się dopuściłam przeciwko człowiekowi, który mi miłość swoją ofiarował, ciąży jeszcze na mojem sumieniu. Czuję, że jestem kary godną, sama ją sobie wymierzam, zwierając ci się zupełnie kochany stryju. Nie sądz mnie zbyt surowo, ale raczej dopomóż mi znosić ciężar, który mnie przywala.

Pan B. słuchał siostrzenicy z wzrastającym coraz zajęciem, a skoro skończyła mówić, przycisnął ją do serca z czułością.

„Zawiniłaś, lube dziecko, pobiłdzilaś, i daleki jestem od uniewinniania ciebie; jednakże żal, prawdziwy i szczerzy żal, może winę, i w mojem mniemaniu nie nie utraciłaś twojém zwierzeniem się. Czynić będę wszystko co można, dla przywrócenia ci twojój spokojności; może mi się uda dowiedzieć się co pocieszającego o biednym młodzieńcu. Zajmę się tém szczerze, i spodziewam się, że nasz przyjaciel Bothmar swojej pomocy nie odmówi.

— Całym sercem, i w każdym razie z zaręczeniem pomyślniejszego skutku, niżeli możecie oczekiwać. Jeżeli nie jestem w błędzie, to zapewne najlepszą wiadomość będę mógł udzielić o losie pana Kronthal, ponieważ jest on moim przyjacielem, a ja jedynym powiernikiem jego serca, chociaż dotąd ani nazwisko, ani miejsce zamieszkania srogiój jego kochanki nie było mi wiadome. Mogę zapewnić, że z duszy i serca dawno jój przebaczył, i cieszę się niewymownie, że na pociechę pani, mogę jój zaręczyć, iż mój przyjaciel dzisiaj jest zupełnie spokojny, wesóły i swobodny.

— O! opowiedz nam pan, zawołała ucieszona Klotylda, opowiedz nam wszystko co o nim wiesz.

— Bardzo chętnie, mniemam bowiem, że w tej mierze nie nadużyję zaufania przyjaźni. Karol Kronthal, młodzieniec z niezmiernie żywą wyobraźnią, ukończywszy nauki w uniwersytecie, zamierzył podróżować w celu dalszego wykształcenia umysłu, gdy nagle śmierć ojca jego, uczyniła go dziedzicem znakomitego majątku. Wrócił natychmiast do swoich dóbr, dla zrobienia należytego porządku, a że ojciec jego niekoniecznie dobrym był gospodarzem, miał przeto wiele pracy i kłopotu. Z powodu procesu, którego dopilnowanie osobiste koniecznie było potrzebne, udać się musiał w drogę, i w przejeździe przez stolicę, o której nazwisku teraz dopiero się dowiaduję z opowiadania pani, widział panią na balu maskowym, a co potem nastąpiło, już nam jest wiadome.

Odpowiedź pani na jego szczere oświadczenie, mało go rozumu nie pozbawiła. Czuł on wprawdzie, że go gwałtowna miłość zaślepiała i do kroku nierozważnego skłoniła; uznawał nawet że osoba nieznająca go weale, która go tylko w przelocie prawie widziała, nie mogła, nie powinna była czynić mu jakichkolwiek nadziei, i że raczej należało mu po załatwieniu interessu wrócić, i dopiero o wzajemność się starać. Ale

odpowiedź pełna dojmującego szyderstwa i wzgardy, oraz dołączona do niej ręka woskowa, z paraliżowała go do szczytu. Kiedym go zobaczył, zląkłem się, tak był zmieniony. Długo napróżno usiłowałem wybadać przyczynę jego utrapienia; dopiero po kilku godzinach wylał on na łono przyjaźni dręczącą go tajemnicę, wyznał mi wszystko z zatajeniem wszelako nazwiska i miejsca pobytu okrutnej dręczycielki. — Byłem oburzony, wybacz pani mojej otwartości, ale nie mogę zataić, że w sercu mojem czułem gorycz i odrazę do nieznajomej, która tak srogo zniweczyła spokojność mojego przyjaciela.

Przedstawiłem mu całą niedorzeczność oddawania się rozpacz, że że podobna osoba niezasługuje na jego miłość, zał. Upierałem się żeby zniszczył natychmiast list i rękę woskową, jako niepotrzebne wspomnienie doznanej wzgardy; namawiałem iżby się nie ociągał z pojęciem w małżeństwo jakiej godnej, zacnej osoby, i prędzej zapomniał o dumnej piękności w stolicy. Ale człowiek, zwłaszcza człowiek chorujący na miłość, słabe jest stworzenie Krontbal nie słuchał moich rad, owszem jak świętość jaką chował troskliwie woskową rękę, a dawczyni o-

nej ciągle w sercu nosił, lubo wiedział dobrze, że się do niej nigdy już więcej nie zbliży.

Dwa lata tak upłynęły, w życiu samotném i pustelniczém; poddani Kronthala zaczęli już nawet głośno dopominać się, aby ich dziedzie pojął małżonkę w czém i ja także, choć z odległości, nie przestałam nań nalegać. W końcu, postanowił więcej z namowy jak skłonności, wejść w związku małżeńskie, i zwrócił oczy na córkę szlachcica w sąsiedztwie mieszkającego. W wyborze swoim trafił jak najnieszczęśliwiej. Młoda jego małżonka, zalotna i na wszelkie uciechy świata wylana, niezdolną była zagoić rany mego przyjaciela, owszem powiększyła je swoim lekkomyślném postępowaniem. Pokryję milczemem wszystkie przykrości i zmartwienia, jakich doświadczyć musiał Kronthal w małżeńskim pożyciu, to tylko nadmienię że żona jego życiem przyplaciła swoje śmiałość i nie niewieście skłonności. Niebezpieczny upadek z konia, zabił ją na miejscu.

Kronthal dźwigał jarzmo hymena tylko przez piętnaście miesięcy. Po śmierci żony, postanowił oddalić się z swoich okolic, w których żadnej przyjemności nie doznał. Sprzedał majątności i zaczął podróżować. Od sześciu mie-

sięcy znajduje się w Rzymie, a listy jego przekonywają mnie, że jest spokojnym, a nawet wesołym, jakim go od dawna nie widziałem. Weskowa ręka ciągle i wszędzie mu towarzyszy i największą ma przyjemność patrzeć nanią, a chociaż za pierwszym poznaniem pani, uważałem że twoja ręka do tamtej była bardzo podobną, jednakże zostawałem w błędzie i zupełnej niewiadomości, z powodu uderzającej sprzeczności, jaką dostrzegłem w jej barakterze, a tym jaki się okazywał w dręczycielce mojego przyjaciela. Dopiero zdarzenie wczorajsze, kiedy prosiłem o pozwolenie zdjęcia odcisku z wosku, jej pięknej ręki, naprowadziło mnie na domysły.

Teraz wiesz pani o wszystkiém i smiem się spodziewać, że mi pani pozwoli, udzielić mojemu przyjacielowi części dzisiejszej naszej rozmowy. Słodka pociecha, żeś pani nad nim ubolewała, ta błoga myśl, żeś swoje postąpienie odżałowała, dostatecznemi będą do włania w jego serce zupełnej spokojności. Nie obawiaj się pani, ażeby to zwierzenie się miało spowodować może przykre dla niej widzenie Kroubala. Znam jego delikatne uczucia nadto, i jestem przekonany, że nie dopuści się niczego, eaby mogło jej tkliwość w czémkolwiek obrazić.

Opowiadanie Bothmara wlało balsam pociechy w serce Klotyldy. Oddychała swobodniej i nigdy on jęj jeszcze nie wydawał się tyle miłym i godnym szacunku, jak teraz kiedy z jęj serca ciężki kamień zrzucił. Z radością zezwoliła, aby z jęj wyznania doniósł przyjacielowi to co sam uzna za potrzebne dla jego wiadomości. Stryjaszek zgodził się na wszystko i wszyscy byli szczęśliwi i spokojni.

O woskowej ręce już nie było żadnej wzmianki, ale skutki jakie z tego powodu nastąpiły, uczyniły na sercu Bothmara głębokie wrażenie. Klotylda ukazała mu się teraz w innym zupełnie świetle; jęj żal, jęj pragnienie naprawienia dawnej niesprawiedliwości, zniewoliły go zupełnie i były chwile w których się zapominał. Zastanawiało to pomiekąd stryja. Miał on bowiem myśl, ofiarą swojej ręki zabezpieczyć los Klotyldy, a sobie zapewnić przyjemność reszty dni swojego życia. Wprawdzie czuł on niestosowność wieku, jednakże zawsze był tego zdania, że cokolwiek za wysoka liczba lat, mniej będzie przyszkadzać w tęg mierze, niżeli nadto wielki nos. Dla tego wzrastająca codziennie poufalość między

młodemi osobami, nabawiła go bojaźnią. Przeświadczony on był aż nadto o skromności i niewinności Klotyldy, jednakże mógł się obawiać, aby ją szal romantyczności nie uniosł, i żeby przyjacielowi Kronhala nie oddała w naturze to co tamtemu w woskowym odcisku przesłała.

Zaczął więc gorliwiej chodzić około kupna dóbr, i częściej swojego gościa skłaniać do wyjazdu w okolice. Tym sposobem chociaż oddałaś niejako współzależność, przecież sam nie miał odwagi odkryć się z swojami zamysłami; a tak wszystko zostało po dawnemu, i ani Bothmar ani Klotylda nie domyślali się co się w sercu pięćdziesięcioletniem dzieje.

Jesień już dawno się zaczęła, Klotylda niezadługo powinna była do stolicy powrócić. Jój przesładowca wmaszerował z pułkiem na inny garnizon, a siostra i jój mąż pragnęli ją znów mieć u siebie. Oboje przyrzekli przyjechać po nią i kilka tygodni jeszcze na wai zabawić. Nie było więc czasu do stracenia, i dla tego pan B. postanowił korzystać z pierwszej nieobecności Bothmara, i oświadczyć się na prawdę.

I pana Bothmar zasnućcia wiadomość o rychłym wyjeździe Klotyldy, lecz daleki od korzystania

z drogich momentów, częściej wymawiał się od zabaw i towarzystwa, po całych dniach niewychodził z swojego pokoju, lub też samotnie przechadzał się. „Dziwny sposób okazywania skłonności, pomyślał sobie pan B.— „To dla mnie nader pochlebnie, pomyślała znów Klotylda, że ostatnie dnie naszego razem przebywania, poświęca raczej samotności niżeli mi; a widoczna jakaś niechęć zniewoliła stryja, że zawsze na później odkładał wykonanie swojego zamysłu.

Jednego poranku ukazał się Bothmar przy śniadaniu, później jak zwykle, a wrzok jego zapowiadał że coś ważnego ma do udzielenia. Jakoż bez dalszej zwłoki, oświadczył że musi wyjechać.

— „Trzeba się rozłączyć, dodał, dłuższy pobyt mógłby pociągnąć za sobą nader ważne skutki dla mojej przyszłości. Osobliwe wypadki powołują mnie nagle do miejsca rodzinnego, nawet przed załatwieniem zamierzonego kupna. Jutro muszę koniecznie wyjechać.

Przy tém oświadczeniu uważano, że Bothmar cierpiał wiele, iż musi opuszczać towarzystwo, w którym tak był szczęśliwym, i z trudem usiłował pokryć swoje pomieszenie. Wszystkie ulubione miejsca w ogrodzie były odwiedzone i pożegnane, a kiedy wieczór zgromadził ich po raz

ostatni do tali, prosił pan B, ażeby mu jeszcze co zaśpiewali razem. Bothmar i Klotylda zaczęli zatém śpiewać i po raz ostatni pożenili dźwięczne swoje głosy w słodkiej harmonii. Lecz kiedy stryj żądał owego duetu z Eurjanty, który po raz pierwszy śpiewali, natenczas Bothmar stanowczo oświadczył, że w téj chwili niepodobna mu to było uczynić. Duet ten, dodała Klotylda, wymaga mocnych piersi, a śpiewając już tak wiele, i mnie zbywa na tchu.“ Stryjasek przestał nalegać, i wkrótce Bothmar pożegnał się z czułością. Nie wspomniał jak prędko załatwił swoje interesa i kiedy powróci, dziękował tylko za miłą gościnność, zapewniając, że pobyt jego w Berenhofie należy do najszcześniejszych dni jego, i prosił o pozwolenie udzielenia o sobie kiedy niekiedy wiadomości. Z Klotylda pożegnanie odbyło się w milczeniu wycisnął ogniste pocałowanie na jej drżącej ręce i wyszedł. Jeszcze téj samej nocy wyjechał.

Pan B. zaczął wolniej oddychać. Lubił on bardzo Bothmara i przywykł do jego towarzystwa, ale dopóki trwał w zamiarze doprowadzenia do skutku swoich widoków, nie żałował jego odjazdu. „Młódzież, myślał sobie, nie powinna widzieć, jak starość chce się z nią mierzyć.“ — Zaraz po jego odjeździe, nie zdawało się stryjaskowi korzystnie,

występować z oświadczeniem. Klotylda nie ukrywała smutku z oddalenia się przyjaciela, owszem otwarcie zapewniała stryja, że po nim tęskni. O miłości nie było wzmianki, bo gdzież mógł ją wzbudzić człowiek z tak ogromnym nosem. I to już wiele, że nawyknięcie działać mogło, iż ułomność podobna nie tak uderzała w oczy, i straciła na śmieszności. Pan B. jednakże wnosił, iż czasu tracić nie należy. Następująca Niedziela, w którą przypadać miała 51 rocznica jego urodzin, powinna była stanowić o jego losie. Wiedział on, że z téj okazji Klotylda wwnurzać mu będzie serdeczne życzenia, i to miało mu służyć za wstęp najstosowniejszy do jego oświadczenia.

Dzień urodzin zbliżał się, Klotylda tajemnie poczyniła niejakię przygotowania do uświetnienia uroczystości, zaprosiła liczne grono gości, przysposobiła własnej roboty upominki, słowem wszystko urządziła jak najlepiej. Nie przeczuwając wcale nadchodzącej burzy, siedziała ona w wilgdnia uroczystego z dziećmi w ogrodzie i wila z kwiatów wieńce, gdy w tém posłaniec jakiś wręczył jéj list z pudełkiem dobrze opieczętowanym. Złękała się niezmiernie, albowiem napis na liście zdawał się jéj znajomej ręki, raptem oderwała pieczętkę i wyczytała co nasępuje.

„Pani, jeszcze ten jeden raz, ośmielam się zbliżyć do ciebie listownie; wszakże nie zabroniłaś mi! Jeszcze raz stawam przed tobą jako proszący. Co przed kilkoma miesiącami zdawało mi się niepodobnem, dzisiaj niem być przestało. Gdzież znajdę wyrazy, na oddanie walki wewnętrznej, i odrodzonych uczuć serca mojego. Nie zrozumiesz mnie, nie jesteś w stanie mnie pojąć, a jednak ciężko mi spokojnie i z całym zebraniem myśli opisać to co czuję.“

„Kronthal i Bothmar jest jedna i ta sama osoba. Wybacz podejściu, które mi sztuczny nos z wosku ułatwił. — Pani, wszystko co ci Bothmar mówił o Kronthalu, jest rzetelną prawdą, z wyłączeniem tylko podróży do Włoch. To jedynie z mojej strony dodać powinienem, że Bothmar nie miał odwagi wyznać ci ustnie miłość, którą go po raz drugi zapaliłaś. Sam nie wiem co mnie do ciebie zbliżyło, jeżeli nie słabe serce, które mnie skłoniło do mojego przedsięwzięcia. — Po śmierci mojej żony, udałem się do D... Wszelkie poszukiwania o tobie pani, nic więcej nie sprawiły, jak tylko jeszcze bardziej roznieciły pożerający mnie ogień. Dowiedziałem się, że porzuciwszy stolicę bawisz na wsi u stryja. Przedstawić się pod mojem prawdziwem nazwiskiem, nie po-

zwołała mi ambieja, a jednak czułem potrzebę niezwykłą widzieć cię. Nie namyślając się, powziąłem zamiar ukazania się niepozwany. Pan Schlosser, przyjaciel twójego szanownego stryja, jest także moim dawnym i jedynym powiernikiem trosków. Jego to przymówieniu się i prośbom, winienem gościnne przyjęcie w Berenhofie. Chciałem się koniecznie sam przekonać, czy mi jeszcze jaka nadzieja pozostaje, lub też czyli należało mi uważać za nieodwołalne dawniejsze twoje względem mnie oświadczenie.“

„Największym mojem staraniem było nie dać się poznać. Widziałas mnie panu raz tylko, i to bardzo krótko, poczem cztery lata ciężkich zgryzot i trosków mogły mnie znacznie zmienić. Pomimo tego jednak, umiając zdawna z wosku modelować, umyśliłem dla lepszego utajenia się, korzystać z téj umiejętności, i sama pani możesz osądzić czyli nie doskonale naśladowałem nadzwyczajnie wielki nos. Okulary zakrywały miejsca spojenia, a uludzenie było zupełnem, i mogłem śmiało przed panią stanąć.“

„Poznałem cię Klótyldo, oh, byłaś zupełnie inną jak na balu maskowym. Była u ci znośny pomimo poczwarne go nosa, nawet mniemano, że nie pochlebę sobie utrzymując, że twoją przyjaźń

pozyskał. Oh! jakże mi ciężko było ukrywać przed tobą uczucia mojego serca, o tén samą może sądzić będziesz w stanie. A jednak szczęśliwie mi dnie upływały obok ciebie, i zawsze odkładałem na później zamiar zbadania twoich panii uczuć i myśli względem mnie. Wypadek przy fortepianie, — rozstrzygnął o moim losie. — Zachwycony piękną grą, i widokiem twojej ręki odwazyłem się na prośbę o pozwolenie odcisnienia jej w wosku. Twoje pomieszczenie, piękna klotyldo, wierne wyznanie, oszarzenie się i żal, uczyniły mię najszczęśliwszym z śmiertelnych. Radbym był w tej chwili paść ci do nóg, i wynurzyć całe moje zachwycenie. Stałe postanowienie niesć ci w ofierze serce i rękę, tylko jedna niepewność, jak moje oświadczenie będzie przyjęte — wstrzymywała mię dotąd. Chciałem z całą zupełnością kosztować stolicy mojego szczęścia i przedłużyć obecne uszczęśliwienie.

„Wiadomość o rychłym wyjeździe pani, wyrwała mię z tego odurzenia. Należało mi nie zwlekać mojego zamysłu; chciałem pisać, lecz pióro odmawiało pomocy. Sądziłem, że z oddalenia snadniej mi będzie pisać, oddaliłem się i przebywam w niedalekiej wiosce. Jutrzej szy dzień urodzina twojego stryja, niech rozstrzygnie o moim

losiã. Znasz mnie teraz Klotyldo i nie potrzebujesz czasu do namyslenia. Stryj sprzyja mi, i pëwnie naszym zwiãzkom pobłogostawi. Jesteś wolnã, niezawisłã los mój w twoje ręce oddaję. Oby uczucie łagodne i miłe napełniło w tój stanowczój chwili twoje serce!“

„Skoro świt, postaniec przybędzie po odpowiedź, którój z biciem serca oczekuję. Żegnam cię Klotyldo. Dzień jutrzejszy będzie dla mnie albo najuroczystszym, albo na wieki mnie od ciebie oddali.“

„Załączone pudełko obejmuje dawniejszy twój dar, rękę woskową. Jeżeli nie otrzymam oryginału, natenczas nie pozostanie mi żadne wspomnienie na dwukrotne uwiedzenie się. Jeżeli zaś szczęście mi sprzyjać będzie, wtedy mając oryginał, cóż mi po kopji. — Sztuczny nos z wosku niech przekona, że odrzuciłem od siebie wszystko obce i pragnę stanąć przed tobã w prawdziwój postaci, dla czego nawet nie podpisuję się Bothmar, ale

Kronthal.

List Klotyldzie z ręki wypadł, a łzy radości niespodziewanej oblały jej lica. Pobiegła z listem i pudełkiem do swojego pokoju, poleciwszy służącej, żeby jej nieobecność wytłómaczyła przed stryjem zbyt czynnem utrudzeniem, i zamknęła się.

Zostawmy ją jej własnym rozmyślaniam, a wróćmy się do pana B, który bardzo późno z miasta konno powrócił, i nie gniewał się, że może sam jeden oddać się swoim ulubionym marzeniom miłości.

Klotylda przepędziła bezsennie całą noc, a skoro dzień zaczęło, oddała czekającemu posłańcowi bilet, obejmujący te słowa:

„Czytałam, podziwiałam i roztrząsałam. Zemściłeś się jak szlachetny nieprzyjaciel. Zwycięstwo twoje jest zupełne, a prawa nietykalne. Zradością oddaję ci to, czego pragniesz. Zły duch, który mię wówczas opanował, dziś żadnej nade mną nie ma władzy; poznaję dobroczynny palec losu, i idę za jego skinieniem. W czém Kronthalowi uchybiłam, w tém chcę Bothmarowi nadgrodzić. Przybywaj zatém; dzisiejsza uroczystość powinna mieć dla nas wdzięk podwójny. Dobry stryjasek niczego się nie domyśla, zrobimy mu niespodziankę. Oczekuję dziś przybycia liczego

zgromadzenia na obiad, ciebie zaś panie Kronthal wyglądam natychmiast w dolnym pawilonie.— Pan Bothmar z długim nosem umiał się stać drogim mojemu sercu, przeto przejednany Kronthal, z przywilejami Bothmara i bez jego nosa, spodziewać się może przyjęcia najlepszego. Odciski z wosku zachowam za szkłem jako świętości. Jedno na nie spojrzenie, będzie mnie zawsze wstrzymywało od lekkomyślności.

Klotylda.

Przygotowawszy się należycie do swojego oświadczenia, pan B. ukazał się do śniadania i został przez siostrzenicę przyjęty z wieńcami, upominkami i szczeremi życzeniami. Była nadzwyczajnie wesoła, a stryj sądził, że pomysłniejszej pory nie można żądać, zaczął zatem o radości, jakiej doznawał z jej wesołego towarzystwa, nie mniej o żalu, z powodu niedalekiej chwili rozstania. Chciał dalej mówić, gdy w tém wszyscy słudzy i domownicy z powinszowaniem weszli, i przerwali mu mowę, wprzódym Klotylda mogła nawet domyślić się, do czego ona prowadzić miała. W duszy rozgniewany na taką niewczesną prze-

szkodę, nie mógł jednak pan B. objawić swojej niechęci, i musiał z udaną dobrocią, słuchać oświadczenia i życzenia przywiązanych ludzi. Po ich oddaleniu, nie mogąc uchwycić wątku przerwanej rozmowy, śniadanie skończyło się na obojętnej potocznej rozmowie. Sprzątnięto nakoniec ze stołu, a stryjaszek chrząknął po raz drugi i chciał w dalszym ciągu przemówić, ale znów nie wczas weszła deputacya ze wsi z powinszowaniem, mając na czele swojego soltysa. Po odbyciu powtórnej tej wizyty, stryjaszek dobry stracił zupełnie humor, uciekł z pokoju i pobiegł do lasku, aby dać wolny bieg swojemu nieukontentowaniu.

Tymczasem Klotylda zakrzętała się urządzeniem świetnego stołu, a potem w czasie oznaczonym, pobiegła do dolnego pawilonu. Nie potrzeba wspominać że zastała tam kochanka niecierpliwie czekającego, lecz jakimże go znalazła? Niepoznała w nim ani owę młodocianę twarz tyrolczyka, ani ostre rysy Bothmara, których najpiękniejszą krągłość zazdrośne okulary zakrywały. Jeden tylko głos dzwiczny i pieśzeczliwy przypominał jej, że przed nią rzeczywiście stoi jej kochanek w postaci zmienionej.

Umówiwszy się z nim należycie względem niespodzianki stryjowi przygotowanej, wyszła Klotylda z pawilonu, i została spotkaną od służącego który jej oznajmił że pan B. . . wszędzie ją szukał szukać, i chciałby z nią z swoim gabinecie pomówić. Wiedziona dziwnym domysłem, Klotylda wróciła do pawilonu, ażeby zaraz niespodzianie stryjowi przedstawić przyjaciela w nowój jego postaci. Trzymając go za rękę weszła Klotylda do gabinetu, w którym pan B. w szereg i w zdłuż przechadzał się szerokimi krokami. Potrójna przeszkoda właśnie wtenczas kiedy zamierzał już czynić oświadczenie, zdawała mu się złą wróżbą, postanowił zatem teraz nieodmiennie i koniecznie uczynić krok stanowczy. Widok Kronthala, wprawił go z razu w oniemia- nie, z czego młoda para korzystać umiała, udzielając mu natychmiast swoje życzenia, widoki i nadzieje prosząc go oraz o błogosławieństwo.

Któż opisać zdoła zadziwienie omyłonego w swych zamysłach stryjaska, widzącego obalonymi i zniweczonymi jednym zamachem kwieciste widoki swojej przyszłości. Rozsądek nie pozwalał mu nie nadmienić co do wyboru Klotyldy, był on bowiem pod każdym względem naj-

korzystniejszym. Nie pozostawalo mu zatém, jak grać rolę stryjaszka rozczulonego, zadowolonego, i w głębi serca zataić swoją własną słabość. Klotylda nigdy się o niej nie dowiedziała, i ty łaskawy a niecierpliwy czytelniku, nie otrzymałabyś zapewne żadnej w tej mierze wiadomości, gdyby zaenry ten i szanowny starzec, nie zwierzył mi jej krótko przed swoim skonaniem. Ogłaszam ją teraz, kiedy już pan B... od dawna w grobie spoczywa, na przestrozę wszystkim starym kawalerom, którymby jeszcze przyjść mogła chętka do stanu małżeńskiego.

Zaręczyny młodej pary, odprawione były tego samego dnia w obec licznie zgromadzonych gości a wesele niedługo potem, aby siostrę i szwagra Klotyldy nie wystawiać na powtórny podróż. Teraz także Kronthal nie zwlekał dłużej nabycia majątku, a pan B... miał tę przyjemność, cieszyć się sąsiedztwem swoich ulubieńców. Po tak niepomyślnie zakończonym zamiśle, postanowił on i wiernie dotrzymał, że nigdy więcej o ożenieniu myśleć nie będzie, i żył spokojnie zapatrując się z rozkoszą na szczęście drugich.

Woskowa ręka i nos, osadzone zostały w ramach za szkłem, i chowane były troskliwie i z uszanowaniem przez uszczęśliwionych małżonków.

ODJAZD

Z E W S I.

Jestem tu — jakże czy mam jechać dalej?
Jechać!... a po co? — powracać!... do kogo?
Plakać — i któż się nademną uzali
Śmiać się — O! uśmiech opłaciłem drogo.
Pozostać może sam sobie oddany,
Z dniem nowym, nowe czuć w mem sercu rany.

Pojadę!... „Nie jedź, (rzecze strumyk do mnie)
Patrz jak szczęśliwy, choć samotny płynę,
Brzeg mój kwiateczkiem umaiłem skromnie,
I za postanie uslałem darninę.
Często tu ptaszek piosneczkę zakwili,
Pasterka ładna ugasi pragnienie,
Pasterz zaśpiewa piosnkę o Maryli,
I na dobra noc posle ję westchnienie.
Pozostań! -- ten kto przez Ocean płynię,
Często grób znajdzie w pośród burz i fali,
Na pięknej łące kwiatek się rozwinie,
Kiedy w wazonie na swój los się zali.“

* * *

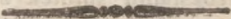
Strumyku, twojej zazdrość swobody,
Jednak za losu rozkazem iść muszę,
Kto chce kosztować szczęścia wśród przyrody,
Ten musi tak mieć jak ty, czystą duszę.
Ach, wtedy, kiedy lat temu nie wiele,
Nurzałem kwiatki w twoim srebrnym łonie,
Któż się mógł spodzierać, że piosnkę minstrela
Grając nad tobą, łzę dzisiaj uronię?
Bóg wie co będzie -- serce wie co było,
Długą mam nogę do przebycia drogę,

Strumyku, z tobą chociaż mi jest miło,
Jednak ja dłużej pozostać nie mogę.
„Pozostań, rzecz mała ptaszyna,
Patrz jak się cieszę tu słodyczą życia,
Głosem mych pieni brzmi cała dolina,
I znam światu chociaż wśród ukrycia.
Nucę, nie dawnych bohaterów dzieje,
Ni mój głos wielką nauką się chlubi;
Czasem, ah! czasem żalśnie zapieję,
I serce wzruszę i każdy mnie lubi.
Zostań — a codziennie, skoro słońce wstanie,
Obadwa sobie spędzim ranek cały,
Ty będziesz twoje przeklinał kochanie,
A ja nad moim rozgłaszałam pochwały.
Jednaki przedmiot — nie jednaki skutki,
Dobrocią Nieba cieszymy się spoly,
Lecz ty żeś człowiek musisz znosić smutki,
A ja żem ptaszek mogę być wesoly.“
Słowiku! jakże lubię twoje rady,
Jak się rozczulam na głos twego pienia,
Lecz patrz, na niebie wschodzi księżyc błądy
I noc nadchodzi, ja szukam schronienia.
Ciebie kochanka z miękki n puchem czeka,
Na domek listki stworzyły ci nieba,
Ty ptaszkiem jesteś, ja mam postać człowieka,
Dla ciebie gniazdko, moje więcęj potrzeba.

Ja łzami często stłumię moje śpiewy,
Ty graj wesoło gdy cię nic nie smuci,
Kto z nas jest mędrszy, kto więcej szczęśliwy,
To niechaj o tém ktoś po nas zanuci.
„Zostań a! zostań — pies temi rzekł słowa,
Ach jakże smutno mi będzie bez ciebie;
Któż ze mną pójdzie wieczorkiem na łowy,
Kto zrana dla mnie pomyśli o chlebie.
Przy twoim ojcu wiek spędziłem młody,
Pray tobiem sądził, że głowę położę,
Zostań — nie rzucaj téj wiejskiej zagrody,
Gdzie dzień tak piękny, takie mile zorze.
„Żal mi cię psie mój, lecz się rozstać trzeba,
Choć przy rozstaniu smutek z tobą dzielę,
Odmiennie wcale nas stworzyły nieba,
Mnie dały mało — tobie dały wiele.
Ty z innym panem wychodząc na łowy,
Samotne życie pędzić będziesz błogo,
Mnie przyjaznemi nikt nie przyjmie słowy,
Ani odjazdem mym rozczulę kogo.
Ciebie i mięśka murawa przytuli,
Kiedy skwar słońca twoje znurzy siły,
A mnie kto?.. ludzie!.. o! ludzie nieczuli,
Jak głaz, który już murawy okryły.
Jadę,.... któż odjazd mój płaczem uświetni,
Któż mi swój smutek choć prześle spojrzeniem,

Dąb chyba może zaszumi staletni,
Lekkim wietrzyka poruszony tchnieniem.
Czy się z mém okiem oko zetknie czyje,
Ażeby w duszę przesłać pożegnania,
Pies tylko wierny nade mną zawyje,
I puszcz zahuczycy godzinę rozstania,
Jadę!... wesoły..... niechaj się ten smuci,
Czyje wspomnienie pamięć nęci złota,
Ja!... wszystko jedno gdzie mnie los obróci,
I gdzie się łódka rozbije żywota.

Józef Łopaciński.



SZWA CZKA.

Przez księżnę d' Abrantés.

Dziesiąta godzina zrana wybiła na zegarze w zamku Férussac; w téj samej chwili dzwon zwołał całą rodzinę. Margrabina de Saint-André licząca ósmdziesiąt cztery lat, znajdowała się

już od kilku minut w salonie, bo zazwyczaj wyprzedzała swoje dzieci. Twarz margrabinę nosiła cechę spokoju i rezygnacji które były jej towarzyszkami w całym długim ciągu jej życia. Straciła ona męża na rusztowaniu, bardzo wczesnie, a czarny ubiór i oddalenie od świata, uwieczniały wspomnienie, które dla jej serca stało się pociechą. Poważna, dobra, wyrozumiała, zawsze zadowolona, nigdy nie opryskliwa, dzień jej podzielony był między Bogiem i jej dziećmi. Jeśli nie była w salonie, szukano ją na pewno w kaplicy.

Syn jej, margrabia Saint-André miał lat dwadzieścia, kiedy ojciec jego został wzięty pod sąd konwencji; starzec odbył podróż z Bordeaux do Paryża, na prostym wozie, wśród mocnego zimna. Nie mogąc otrzymać pozwolenia towarzyszenia ojcu, margrabia udał się za nim pieszo. Poszedł za nim do Conciergerie, i na progu jej czekał aż do chwili w której ojciec jego został poprowadzony na śmierć; wtedy, poszedł za nim aż na rusztowanie. Tam, na kolanach, z oczami w pół zawartemi, aby nie widzieć okropnej ofiary, przyjął błogosławieństwo rodzicielskie. Powróciwszy do matki, ponieważ dobra

ich zostały zbyte, utrzymywał ją przez swoje talenta. W kilka lat później zaślubiwszy Ludwikę de Férussac najbogatszą dziedziczkę w Langwedocji, zamieszkał z matką i żoną zamek, który był własnością téj ostatniej.

Pobożność margrabiego, zaprowadziła w domu jego zwyczaję patriarchalne. Dwudziestu domowników, tak kobiet jak mężczyzn, żyło tam w największej jedności, nigdy nie usłyszano sprzeczek między niemi; oko pana strzegło pokoju i dopełnienia obowiązków chrześcijańskich, a przykład państwa pociągnął z łatwością do naśladowania.

Margrabia de Saint-André, miał syna imieniem Jerzego, którego przyszłość wrożyła zaszczyt rodzinie, i cztery córki: Sara, najstarsza, zamężna od lat dwóch, mieszkała jednak razem z rodziną; trzy inne, Klara, Ida i Matylde, różniły się między sobą o rok. Margrabia który był nauczycielem swoich córek; zaszczerpił w ich duszach wszystko co jest dobrém i cnotliwém. Wszystkie cztery, blondynki, wysokiego wzrostu, piękne i tak do siebie były podobne, że można było wziąć jedną za drugą. Matka ich umarła wydając na świat Matylde, i ta jedna tylko nie otrzymała od natury świeżości i zdrowia trzech innych, blade

delikatna, drobniej, szczupłej budowy, obudzała obawę całej rodziny. Sara będąc już matką kilkomiesięcznego dziecięcia, została jakby matką dla sióstr swoich; zajmowała się zarządem wewnętrznym, który już był za ciężkim dla jej babki. Pan de Saint-André wydając Sarę za męża, za pierwszy warunek położył, żeby pozostała ciągle w jego domu. Tym sposobem, Sara nie zmieniła w niczem zwyczajów jakie przed zamęściem zachowywała. Co tydzień jedna z sióstr z kolei obejmowała dozór, nad wsparciem udzielanem chorym wieśniakom.

Rozrywki rodziny ograniczały się na przechadzce nad wodą, albo w gaiku, niekiedy udawano się na zabawę w sąsiedniej wiosce; była to ulubiona rozrywka Klary i Idy; dla Matyldy największą przyjemnością było zostać przy babce, słuchać jej opowiadań o dawnych czasach, a ilekroć sądziła się wolną, udawała się do kaplicy, i zostawała tam przez kilka godzin niekiedy, nie przestrzegając tego.

Wszystkie cztery siostry były bardzo pobożne, ale Sara i Matylda przewyższały inne w tym względzie. Sara, świeża, wesola, potęczająca wszystko co stanowi szczęście, kochała Boga jako dobroczyncę. Matylda, blada, zamyślona, jakby

przez instykt przeczuwając, że jój życie ma być krótkim i cierpiącym, i że szczęście tego świata nie ma dla niej zabłysnąć, kochała Boga przez wdzięczność, że ją tak prędko miał do siebie powołać; myślała o niebie, jako o mieszkaniu, które wkrótce miało się dla niej otworzyć.

Choć Sara była małżonką i matką, nie czyniono względem niej odróżnienia; tylko Margrabina Saint-André, matka, babka i prababka, była przedmiotem szczególnych względów i czułości całej rodziny. Nawet uwielbienie czterech córek względem ojca, rzadko kiedy dało się dostrzedz kiedy margrabina była obecną, tyle on sam usiłował, aby ona była pierwszym dla wszystkich przedmiotem miłości i uszanowania.

Na odgłos dzwonka, wszyscy zeszli się do salonu. Zapytawszy się o zdrowie babki, która oń niejakiemu czasu często była słabą, młode dziewczęta obstały Sarę i jój małego Edmunda pieszcząc się z nią i wypytujac się młodej matki o zdrowie małego. Potem przy śniadaniu mówiono o Jerzym, który od niejakiemu czasu wszedł do pułku jazdy, stojącego garnizoneem w Tours

Oczekiwano listu od niego, z doniesieniem o przed-
kiem jego przybyciu; i ponieważ zbliżała się go-
dzina przyjazdu poczty, serca młodych siostr bi-
ły nadzieją i obawą. Ida widząc wchodzącego
służącego z paczką listów, poskoczyła, aby naj-
pierwój zobaczyć czy nie ma listu od brata.

— Jest, ojcze! zawołała. Jerzy pisał; donosi;
zapewne, że wkrótce przybędzie! — i cała rodzi-
na zasiadła około dużego okrągłego stołu, pokry-
tego książkami i rycinami.

Margrabia Saint-André odpieczętował list, i czy-
tał głośno:

„Kochany i szanowany ojcze!

Oddawna już pragnę przyjechać do was, zoba-
czyć moje siostry, babkę, dom gdzie mój wiek dzie-
cinny upłynął; ciebie zobaczyć, ciebie nadewszy-
stko, któremu winieam tyle wdzięczności; ale
nie wiem kiedy na to pozwolisz, nie śmiem sta-
nąć przed tobą, pierwój, nim wyznam moją winę
i otrzymam za nią przebaczenie.“

Na te słowa wszyscy spojrzeli na siebie zadzi-
wieni. Margrabia zbłądł jak nie żywy, przewi-
duje okropną próbę; najokropniejszą jest dla nie-
go błąd popełniony przez jedno z jego dzieci!..
czyta dalej, ale po cichu; potém oddaje go swo-
jój matce i milczy.

— Mój ojcze, Trzecie Sara zbliżając się do niego, cóż się stało Jerzemu? Trzy młodsze siostry otoczyły ojca, pytając go także.

— Wasz brat zmysły postradał! rzekł pan Saint-André.

— Cóż on uczynił? zapytały wszystkie razem.

— Chce zawrzeć związki małżeńskie, które nie mogą przyjść do skutku, rzecze ojciec z łzami w oczach, chce zaślubić szwaczkę!...

Słowa te, lodem przejęły cztery siostry, znały one nieugiętość ojca. — Szwaczkę, zawołała Sara, nie rozumiejąc nawet dobrze znaczenia tego wyrazu; mój Boże, jak on mógł pomyśleć...

— To właśnie jest dla mnie nieodgadnioném, gdyby to była najuboższa dziewczyna, wieśniaczka nawet, powiedziałbym mu, żalując poświęconej przez niego przyszłości, „przyrowadź ją mój synu, jeśli ją kochasz, jeśli jest czystą i cnotliwą; będziemy ją kochali, ponieważ zakładasz w niej twoje szczęście. Ale podobna kobieta, pomiędzy wami, moje anioły!... ah, nigdy! i zakrył twarz rękami, aby nie pokazać wzruszenia, jakiego doświadczał.

Matylda przerwała milczenie tej bolesnej sceny.

„Mój ojcze, rzekła, biorąc rękę pana Saint-André i kłękając przed nim, nie odmawiaj tego o co będę cię prosić.

— Mów, moja córko, co chcesz?

— Mój dobry ojcze! bezwątpienia Jerzy jest winnym, ponieważ jesteś na niego rozgniewany; ale zostaw mu przynajmniej czas do doświadczenia; jeśli trwać będzie w swoim zamiarze, będzie to dowodem dostatecznym, że szczęście jego przywiązane jest do téj kobiety; a ty nie będziesz miał siły odmówić twego zezwolenia.

— Drogie dziecię! rzekł ojciec patrząc na nią z czułością.

— Tak, mówiła dalej Matylda, z mocą, nie odrzucaj nowéj córki, którą mój brat chce ci dać. Może ona przeznaczoną jest zastąpić kiedyś miejsce jednéj z nas; może jedna z twoich córek, teraz tak szczęśliwa i wesoła, zostanie porwaną z twoich ojcowskich objęć. Oh! któż zna przyszłość, kto może powiedzieć: Dziś jestem tu, jutro będę tu jeszcze.

Te słowa, były gromem piorunu dla całej zgromadzonej rodziny. Jedno spojrzenie ojca rzucone na cztery skarby jego, dało mu natychmiast odgadnąć, który z nich ma mu być najpierwéj porwany. Po pierwszy to raz odważył się po-

myśleć o tém nieszczęściu, bo im bardziej obawiamy się jakiego ciosu, tém mniej lubiemy myśleć o nim zawczasie; i Matylda sama to mówiła. — a więc ona czuje swoje położenie? Oh! dla powołanego na stwórcę łono anioła, śmierć nie jest bolesną; dla tego ona przewiduje ją zawczasu i pociesza się.

Położyła osłabioną głowę na kolanie ojca. On skamieniony prawie tém doniesieniem śmierci, nie miał już siły mówić albo odmawiać. W milczeniu patrzył na tę piękną, miłą, młodą dziewczę, której duże, ciemnobłękitne oczy były łez pełne; patrzył na jęj wychudłe liła, słuchał tego suchego kaszlu, który niekiedy przerywał jęj prośbę dziecinną.

— Twoje miejsce! zawołał jakby w obląkaniu, twoje miejsce! Ona ma zająć twoje miejsce! O mój aniele!

Zamilkł. Wszyscy wyjąwszy Matyldy, zostali uderzeni temi mimowolnie wymówionemi wyrazami: *twoje miejsce...* bo ona nie mówiła o sobie.... Ojciec za późno uczuł co wyrzekł, i zaczął sobie wyrzucać nierozwagę.

Ta scena przedłużając się, stawała się bardzo bolesną. Margrabia wyszedł z salonu do swego gabinetu, a siostry smutnie zajęły się robotą.

— Moje dzieci, rzekła babka, zrywając mleczynie, które zachowała od wyjścia syna, widzę, że każda z nas potrzebuje przez chwilę zebrać myśli przed Bogiem. Pójdźmy do kaplicy, choćjeszcze nie nadeszła zwykła godzina.

W kaplicy znaleźli już margrabięgo,

Wracając do salonu, wszyscy już odzyskali zwykłą spokojność i pogodę oblicza.

Wieczorem kiedy rodzina była znowu zgromadzoną, pan Saint-André tak odezwał się do swoich dzieci,

Długo w obliczu Boga myślałem co mam odpowiedzieć memu synowi: i zważywszy wszystkie okoliczności uległem woli silniejszej nad moją powinności! Tą powinnością jest uchronić mego syna od postępków, którego by później żałował. Przez rok postanowiłem walczyć przeciw jego zamiarowi, jeśli z upływem tego czasu wytrwa przy swoim..... wtedy, niech zaślubi tę kobietę.

Biedne siostry lżej odetchnęły. Cała rodzina pochwaliła zamiar dobrego ojca, i każde z osobna napisało do Jerzego, aby go uleczyć z jego słabości.

Jerzy niezmienił się; rok upłynął a on napisał do ojca z prośbą o błogosławieństwo,

Pan de Saint-André odpowiedział: „Meje dziecię, ponieważ pomimo rad moich i prośb twoich siostr, trwasz niezmiennie w twoim zamiarze, nie sprzeciwiam się już twemu małżeństwu; oby kobieta którą kochasz oceniła to wszystko co dla niej czynisz. Dom ojcowski zawsze dla niej będzie otwarty; jej miejsce obok ciebie. Jeśli nasze zwyczaje i przywyknienia nie będą jej przyjemnymi, wolno jej będzie nie naśladować nas; pozwolemy jej rozrządzać czasem jak się jej podoba.

Twoja babka sama chce pisać do ciebie, nie ci więc o niej nie mówię, siostry także piszą.

Bądź zdrow mój synu, twój ojciec życzy ci szczęścia o jakie Boga prosi dla ciebie.

Jerzy znał dobrze swego ojca, i uczył jak wielką on uczynił ofiarę, ale znając także serca całej swojej rodziny, pocieszał się myśląc: Oni są tak dobrzy, tak łagodni, że moja żona przez swoją tylko winę mogłaby być meszcząśliwą.

Żywo dotknięty tym listem, napisał do ojca z wynurzeniem głębokiego uczucia wdzięczności które przejmowało jego i jego żony serce, donosząc zarazem o przyjeździe swoim w początku Sierpnia: wtedy było właśnie blisko końca Lipca.

Przekonanie że ten wypadek już był nieochybnym, głęboko zasmucilo całą rodzinę; aż do téj chwili, wszyscy jeszcze mieli nadzieję, wiedzieli że Jerzy jest żywy, ognisty, nieco płochy, spodziewali się że się zmieni; ale w téj chwili rzecz była stanowczą. Pomiędzy niemi, temi aniołami, biedny ojciec miał ujrzyć kobietę obcą, która nie ma żadnego związku z ich myślami i uczuciami... ale słowa Matyldy. *To miejsce które ona ma zająć!* ah, ta sama myśl, niezawistną mu czyniła jego synową.

Ale nagle, wyrzucając sobie te uczucia, prosił Boga aby mu je przebaczył, i postanowił przeciwnie, dać przykład swojej rodzinie, przyjmując żonę Jerzego z taką uprzejmością, jakby jej urodzenie majątek i wychowanie wyrównywało ich rodowi i sposobowi życia.

Margrabina de Saint-André nie mogła się wznieść do téj szczytności uczuć; była w rozpacz, ale wyrzucała sobie, gdyby to dodała dostrzedz. Co do czterech sióstr, wszystkie zaczawszy od Sarry, szczęśliwe z szczęścia brata, tak przyzwyczajone do cnoty, że nawet nie umiały rozróżnić jej od błędu, niecierpliwie liczyły dni, wychodziły i wracały do zamku, wydając różne rozporządzenia względem urządzenia mieszkania dla ich bra

towój. Przyozdobiły jój gabinet swojemi malowidłami, w gabinecie umieściły portret Jerzego, malowany przez Sarę; kwiaty, i osobliwości chińskie ustawione były nad kominkiem i w oknach. Sądziły one że te drobnostki mało warte same z siebie, powinny były przekonać panią Saint-André że dobrze jest przyjętą w domu teścia.

Nakoniec dzień ten nadszedł, rodzina była właśnie razem zgromadzoną, kiedy trzask z bicia i tentent koni, dał się słyszeć na dziedzińcu zamku. Młode dziewice wybiegły naprzeciw powozowi. Sara wzięwszy synka na rękę, poszła za nim z swoim mężem.

Przez instynkt anielskiej myśli, uściskały bratową pierwój nim brata; Jerzy wzruszony tą oznaką dobroci, upadł do nóg pana Saint-André. Mój ojcze, rzekł, przedstawiając mu żonę, kochaj ją, dla mojej miłości; potóm wchodząc do salonu, uściskał babkę i powtórzył jój te same wyrazy, ale babka pocałowała młodą kobietę i wzięła się napowrót do roboty.

Tak przyjemnego i czulego przyjęcia ze strony ojca i siostr Jerzego, nie spodziewała się jego

żona; to ośmiękło ją bardzo, i w ciągu godziny okazała się rozmowną i wesołą. Zdawało się młodym dziewczicom że ich bratowa mówi obcym dla nich językiem, za każdym jej słowem spoglądały z podziwieniem na ojca lub na babkę. Jerzy, który to dostrzegł, rzekł do żony: — „Musimy poprosić o pozwolenie oddalenia się, kochana Fanny, trzeba nam rozpakować nasze rzeczy“ i wyprowadził ją z salonu, kontent że skończył rozmowę.

Milczenie panowało przez chwilę w salonie z którego wyszedł, wreszcie margrabia odezwał się: „Piękną jest moja synowa, i spojrzał chcąc zobaczyć skutek jaki te słowa na wszystkich wywarły. Lubię jej wesołość i prostotę. Margrabina nie odpowiedziała ani słowa, a cztery córki mówiły tak jak ojciec.—

—Tak jest, mówił dalej ojciec rozmawiając z nimi, niepowinniśmy nigdy uwodzić się przesadami, często obecne położenie poprzedza przyszłe ulepszenia. Prócz tego, moje dzieci, przypomniéjcie sobie tę zasadę, że wzgarda jaką innym wyrządzamy, spada najczęściej na nas samych; równie poniżającym jest pogardzać jak być wzgardzonym. Cnota ma jedno tylko prawo, to jest

być wyrozumiałą. Czyliż nie pięknie jest widzieć czyste niebieskie dziewice okazujące się uprzejmymi i miłymi, kobiecie która nie jest tak czystą i świętą jak one.

Wy szerególniej moje dzieci, które wychowane zdała od świata, jego pokus i niebezpieczeństwa, nie znając co jest występki i jakie on ściąga nieszczęścia, powinnyście łagodnymi być względem muięj szczęśliwych pod tym względem. Widzicie, brat wasz za ledwie zaczął się stykać z światem, już popełnił nieroztropność. Któż wie, czy byłybyście lepszymi; wszystkie podniosły oczy w niebo jakby mówiąc: „Masz słusność mój ojciec!“ Potem Sara uściśnęła swego syna patrząc na męża, uśmiechnęła się pomyślawszy o swoim szczęściu w zaciszy, a Matylda o bliskim niebie.

Margrabia de Saint-André był szczęśliwy i spokojny, widząc to usposobienie swojej rodziny. Nie uważał on swojej synowej tak dobrze jak mówił, ale powinien był chwalić ją, aby cała rodzina nie mogła czynić inaczej. Po obiedzie, zwyczajem było w domu pana Saint-André czytać pismo święte; tego dnia właśnie była wigilja wniebowzięcia Najświętszej Panny, zwykle uroczyste obchodzono w zamku. Od rana młode

dziewczęta ubrały w kwiaty kaplicę zamkową. Gdy rodzina zgromadziła się w tēmu miejscu modlitwy, Sara wzięła książkę, i długo przewracała kartki w zakłopotaniu widoczném. Nie bardziej nie studzi eichych rodzinnych towarzystw, jak przybycie obcēj osoby, choćby podobnie z innymi myślącėj; tymczasem wiadano ile odróżnia się żona Jerzego od całej rodziny było to przykrém dla jednėj i drugiej strony.

— Zaczynj, moje dziecię, rzekł pan Saint-André, trzeba żeby moja synowa poznała nasze zwyczaje, aby się mogła do nich zastosować, jeśli zdawać się jēj będą dobremi

Sara czytała historję Ruth, i Tobiasza, potem ustęp stosowny do jutrzejszego święta. Żona Jerzego z wruszeniem i uwagą słuchała przez cały czas czytania.

Dzień upływał powoli, ociężale; o dziewiatėj kiedy wszysey się rozeszli Fanny, nie przyzwyczajona udawać się tak wczesnie na spoczynek, wyszła aby się przejść po ogrodzie. Wracała zwolna wzdłuż topolowėj alei, i zbliżając się do zamku, usłyszała śpiew zachwycający; pragnąc dowiedzieć się, która z jēj przybranych siostr śpiewa tak anielsko, wstąpiła na mały wzgórek naprzeciw okna z którego wychodził odgłos śpiewu, i ujrzała Sarę.

na w pół rozebraną, z rozpuszczonemi włosami kołyszącą na ręku małego synka. Śpiewała pieśń nabożną, spoglądając to na swoje dziecię, to na męża, i znowu rozpoczynała śpiew z nowym zapalem i nową rokoszą.

Milczenie wioski, spokojność zamku, piękność nocy, dawały temu powabnemu obrazowi urok zachwycający serce. Nie przyzwyczajona do podobnych wzruszeń, Fanny uczuła łzy w oczach, bo religja ma wyrazy zrozumiałe dla wszystkich położen w życiu, ma łzy dla smutków, ma rokosze dla szczęścia naszego.

Te uwagi obudziły się w duszy Fanny, która dość była, aby mogła ocenić wartość cnoty i żałować przeszłości. Wzruszona, opowiedziała mężowi tę tkliwą scenę, i uczuła się przejętą uwielbieniem, słysząc wszystko co jej Jerzy mówił o Sarze i trzech młodszych siostrach.

Nazajutrz, w święto wniebowzięcia, cała rodzina wczesnie zebrała się w kaplicy. Na czterech równych krzesłach, przed ojcem i babką, Sara i trzy jej siostry słuchały mszy św. mając przystąpić do stołu pańskiego. Promienie wschodzącego słońca, bardziej jak zwykle złociły ich włosy i tak już złote, i zdawały się tworzyć głośnie około ich głów powabnych. Oltarz był u-

brany w białe kwiaty; kiedy kapłan rozpoczął mszę, cztery siostry śpiewały zgodnemi głosy, chwałę Bogarodnicy; wczasie przyjmowania przez kapłana ciała pańskiego, śpiew ustał i nastąpiło głębokie milczenie. Margrabina wsparta na ramieniu Matyldy, przystąpiła do ołtarza. Matylda osłabiona cierpieniem, choiała raz jeszcze obecną być na dorocznej uroczystości, która stanowiła główny przedmiot jej myśli; margrabia Saint-André ukląkł obok swjej matki, Sara przy nim, a przy niej obie młodsze siostry. Kiedy cała rodzina przyjęła najświętszy sakrament, domownicy przystąpili parami do stołu pańskiego,

Jerzy pozostał w swoim gabinecie z żoną; wkrótce Fanny oddaliła się pod pozorem przechadzki na tarasie, a właściwie, aby zbliżyć się do kaplicy. Wszystko widziała, słyszała i pojęła. Cały ciąg mszy przepędziła blada, na kolanach z oczami lez pełnemi. Te śpiewy, te modły, ta prawdziwa pobożność, głęboko dotknęły jej duszę i serce. Ukryta za drzwiami, spodziewała się, że jej nie widział nikt z rodziny. A gdy śpiewy kończące mszę zaczęły się, Fanny spieszenie pobiegła do swego pokoju.

To święto było ostatniem, które Matylda miała widzieć obchodzonem na ziemi; ten sakrament,

który przyjęła rano, był dla niej przygotowaniem na śmierć. Wieczorem, zbliżywszy się do Fanny:

— Siostró, rzekła ściskując jej rękę, widziałam cię dziś zrana i błogosławiłam niebo, które przemówiło do twego serca. Ono to zsyła cię do nas, abys zastąpiła tę, której niedługo już nie będzie... Pozwól mi mieć tę nadzieję, dodała głosem i z słodyczą anielską.

— Przrzekam ci siostró, odpowiedziała Fanny, iż starać się będę naśladować twoją pobożność... twoje cnoty... jeśli żal najszczerzy, najgorętszy może znaleźć łaskę u Boga.

— Bóg jest dobry i miłosierny, moja siostró: miej nadzieję i módl się.

Po tej rozmowie gwałtowna gorączka dotknęła Matyldę, i słabość tak gwałtowne czyniła postępy, że w ciągu miesiąca niepodobna byłoby poznać jej rysów: lekarz oświadczył, że za kilka dni już nie będzie żyła. Podczas krótkich dni, które jej jeszcze pozostawały do życia, Matylda coraz bardziej przywiązywała się do Fanny, której obejście żywe, porywcze, płochę, stało się słodkiem, lekkim, poważnem. Jerzy podziwiał tę szczęśliwą zmianę, którą był winien Matyldzie, która otoczona troskliwą miłością, widząc łzy swojej rodziny, uśmiechała się słodko, aby pocieszyć stra-

pionych, i nie mogąc ukryć cierpień, przejawiała do otaczających ją, aby znosili boleść tak jak ona cierpliwie i bez szemrania.

— Oddalam się, mówiła do płaczącej rodziny. Jestem najszczęśliwszą! Niestety! nad wami to trzeba płakać. Mój ojciec, moje siostry, nie płaczcie nade mną, to rozłączenie jest chwilowém, zjedziemy się znowu wszyscy; po téj nieobecności nastąpi tak szczęśliwy powrót... Bądźcie zdrowi, wy których kocham!

Pewnego poranku, arcybiskup Tuluzy przyjaciel pana Saint-André, przybył, aby przygotować na śmierć młodą dziewczę. Cała rodzina na kolanach w około dziewiczego łóżka, z skruchą słuchała słów pobożnego kapłana.

Nakoniec o zachodzie słońca, kiedy śpiew ptasząt głosił przyrodzeniu spoczynek po pracy; kiedy zwykle o téj porze szczęśliwa rodzina zbierała się, aby razem spędzić wieczór; Matylda, po długim wysileniu, otworzyła z lekka oczy, pocałowała krzyż, który jój kapłan podał, i chcąc uśmiechnąć się jeszcze, spojrziała na ojca i skończyła.

W miesiąc potem nagrobek jój umieszczonym był w parku zamku Férussac, w miejscu najbardziej uczęszczaném, najbardziej odkrytém, aby

cała rodzina mogła mieć pociechę widzenia go w każdej chwili. Pierwszego dnia, jedna godzina nie przeszła, żeby która z sióstr nie poniosła hołdu łez i wspomnienia ubóstwionej istocie, której już nie było; a wieczorem, położywszy bukiet róż białych na urnie grobowej, młoda kobieta ukłękła na grobie Matyldy. — „Cieniu dziewicy! rzekła z czułością i uszanowaniem, wstaw się do Najwyższego za niegodną grzesznicą. Siostró moja, módl się za mnie, żalującą i skruszoną, wstydzającą się moich błędów, i podziwiająca twoje cnoty! Siostró moja! Widziałam cię na łonie rodziny, i zapragnęłam tak żyć jak ty, być matką i małżonką taką jak Sara. Aniele! siostró moja, módl się, módl się za mnie!“

Wstając, Fanny postrzegła obok siebie swego męża i jego ojca. — Oh, panie! rzekła do margrabiego, niegodną byłam zajmować miejsce które mi twój syn nadał, zasiadać pomiędzy twemi czystemi, anielskiemi córkami; byłeś dla mnie łagodnym, dobrym, łitościwym; nikt z całej rodziny nie dał mi uczuć mojej niższości, nie odepchnął mię z wzdargą. — Niech wam to Bóg odpłaci. Fanny łzami zalana, uchwyciła rękę swe-

go teścia, z zapalem ucałowała ją, i wsparta na ramieniu Jerzego, wróciła z niemi do zamku.

.

W wigilję Bożego narodzenia, w téj godzinie cudownej i świętej, w której tajemnica narodzenia Chrystusa, spełniła się dla zbawienia świata, rodzina Saint-André, była jak zwykle zgromadzoną w kaplicy, błyszczącej światłem stu świec otaczających jasełka, w których złożone było wyobrażenie dziecięcia Jezusa: czarny strój obecnych i łzy, które płynęły z ich oczu, świadczyły, że brak jednej ukochanej istoty do zupełności tego uroczystego nabożeństwa; jednak żadne miejsce nie było puste.... na miejscu zwykłym Matyldy, kłęczała Fanny i modliła się gorąco w uniesieniu duszy, zupełnie Bogu oddanej.

OBRAZY**Z ŻYCIA POTOCZNEGO.****M I Ł O Ś Ć**

Kwitnąca młodością Emilja skończyła czytanie Oberona Wiellanda, a oddając książkę swojej młodej przystojnej i żwawej ciotki, powiedziała z głębokiem westchnieniem. Siodma godzina docho-

dzi, muszę pójść i zrobić przyrządzenia do gry w naszym salonie. Ah jak to przykro wracać od cudownego Oberona do codziennego, powszedniego życia, w którym nie ma radości ni smutku, walki ni zwycięstwa, żadnych rycerzy, żadnych straszdeł, nic, tylko samą jednostajność i okropną nudę. — Masz dopiero siedemnaście lat, kochana Emiljo, odpowie ciocia, doświadczysz jeszcze walki, i daj ci Boże zwycięstwa, nie będzie ci i na rycerzach zbywać, ale z nimi mieć także możesz i straszdeła, dodała zamieniając uśmiech w minę poważniejszą.

Emilja zarumieniała się i wyrzekła: Mów co chcesz moją ciociu, ale tryb życia naszej płci jest nudny; jesteśmy niczem, nie działamy same, przykute jesteśmy do nader szcuplego zakresu czynności; i gdyby nie marzenia....

Cóż więc marzyła panna Emilja?

Z wzdraganiem się wyznała nakoniec nadobna dziewczica, że na ostatnim balu zwrócił na nią szczególną uwagę Rotmistrz Balder, a wydawszy się już raz ztajemnicą swego serca, wynurzyła przed ciotką cały potok uczuć fantastycznych o rozkoszach miłości, o jakich jej dusza marzyła.

— O, to musi być bardzo wielka szczęśliwość dodała, żyć dla uszczęśliwienia ukochanej istoty, do niej całkiem należeć, nigdy się z nią nie rozłączać, stanowić na wieki jedno, być mojem, ja jego najwyższym dobrem, wspólnym celem wzajemnej życzliwości, ah, takie istnienie jest cudowne, niebieskie.

— Ależ dopiero mówiłaś mi o marzeniach, przerwie ciotka łagodnie.

— O! nie, nie, miłość nie jest bynajmniej marzeniem, zawoła w uniesieniu Emilja, miłość, która pragnie szczęścia drugiego, jest uczuciem szlachetnym... bąc zdrowa zbyt poważna ciociu,



S A L O N.

W salonie u konsyljarzowej Werner, już herbatę rozdano, i goście zaczęli się już oglądać na zielone stoliki do kart. Gospodyni domu spojrziała marszem na wchodzącą właśnie Emi-

lję, i szinieniem dała jęj poznać swoje nieukontentowanie, za to że się spóźniła. Ta chciała się wytłómaczyć że była u ciotki, ale jęj nie dano mówić: „Po co tam chodzisz do tęj podstarzałęj panny, która z własnej winy osiadła na koszu, spiesz się urządźć stoliki do gry.

Emilja powróciła niedawno do matki z pensji, będącęj w jedném prowincyonálném mieście; matka jęj zaś, cała oddana kartom, strojom i towarzystwom, nie bardzo była kontenta z obecności skromnej, pięknej i niewymuszonej corki, która na siebie wszystkich oczy zwracała. Zawstydzona i załęknioma porywczosćią matki, rozdawała gościom karty, i między innemi zbliżyła się do Rotmistrza Balder, młodego, przystojnego wojownika, którego bładosc twarzy, czyniła więcéj jeszcze zajmującym. „Czy będę miał, rzecz, przyjemność grać z panią?“

— Nie znam żadnej gry. Pan grasz L'hombra z temi dwoma panami, odpowiedziała Emilja, a mocny rumieniec wystąpił jęj na twarz. Poczém przysiadła się obok matki i przypatrywała się z zadziwieniem panującej powszechnie namiętności, a gdy w końcu gry jęj matka miała zapłacić pewną kwotę, która w jęj mniemaniu zdawała się być dosyć znaczną, pomyślała sobie: „Sprzeczki,

klótnie i nadto jeszcze strata, i po toż tylko się zgromadzają?!" -- Nieznacznie wysunęła się do swego pokoju, wyjrzała za okno.... noc była piękna, widna; oddychała świeżą wonią kwiatów; przeczytała Göllinga pieśni dwojga kochanków, wyrażające doskonałą błogość czystej i szlachetnej miłości.



R E S T A U R A T Ō R.

U konsyljarzowej Werner nie było zwyczajū jeść kolacji; przeto po skończonym wieczorze, udał się Balder z swojemi wspólnikami L'hombra, do restauracji, zażądał osobnego pokoiku, szampana i ostryg.

— Goddam! zawoła Baron Walter, jeden z grających, u twojej konsyljarzowej, a przyszłej teściowej *in spe*, człowiek poczciwy musi djabelnie

głód znośić. Żeby ci ona tylko równie głodnego posagu nie dała, taki dzielny chłopak, jak ty kapitanie, mógłby nie jedną, ale dziesięć dziewcząt dostać.

— Baronie, klniesz jak Anglik, odrzeknie drugi gracz L'hombra, a rachujesz jak żyd niemiecki; gdzie tu mowa o posagu, ja się obawiam przeciwnie, żeby nasz kapitan w spódnicy nie chodził. Ja ci radzę, żebyś swoją żonkę trzymał z początku krótko i ostro, rób jej zawsze na przekorę, niech w twoje czynności nigdy nie wgląda, słowem niech przyjmuje od ciebie pieszczoty, jakby jaką łaskę.

Rotmistrzowi tym razem trudno było pogodzić swoje usposobienie umysłowe z towarzyszami, przeto poważnie i niezartobliwie oświadczył, że ona jest piękna i obyczajna.

— Pantoflowy rycerz, pantoflowy rycerz, zawołali obadwa razem, czuli już albowiem skutki szampana. Rotmistrz pokrył gniew swój i wyrzekł spokojnie: Zobaczycie, że zawsze wyjdę z honorem.

— Idła czegoż, panie poruczniku, powie baron, nie mam nic mówić o posagu? A po cóż się żeni kapitan, jeśli nie po to, żeby długi płacił, kredyty zreperował, dawał u siebie dla przyjaciół

obiady i t. d., i t. d. Przecież z tego względu, powinien uważać, żeby porządną porcję pieniędzy z panną dostał.

— Znasz się doskonale, kochany baronie na wartości pieniędzy, odpowie porucznik, ale pantofel, pantofel, tego się najbardziej wystrzegać należy przy młodej a ładnej i bogatej żonie. Niech tylko dostrzeże, że ją kochasz, oho! jużes zginął. Wolalbyś dla tego ożenić się z ubogą służącą, a ta znalazłaby uszanowanie i musiałaby wszystko przyjąć.

— Prawdziwie, moi panowie, odezwie się rotmistrz, wszystko to, co o stanie małżeńskim rozprawiacie, djabelnie jest dalekie od tego, co nam Herder, Jean Paul....

— Aci słowa o gryzmołach, kochany kapitanie; teraz zajmujemy się winną jadogą, precz z atramentem. Hej! muzyka!....

Uniesiony szalem rozpusty, rotmistrz zagłuszył w sobie uczucia szlachetnej roztropności, i téjże samej nocy, kiedy on hłbldował poziomym uciechom, fantastycznemu jego kochanki, przedstawiały go jej w daleko wyższej sferze.

TROBKLIWOŚĆ MACIERZYŃSKA.

Około godziny jedenastej zrana nazajutrz, konsyljarzowa kazala do siebie zawołać córkę, pan konsyljarz wstał od swego biurka i usiadł na sofie koło swojej małżonki.

— Emiljo! zaczęła matka, pan Bóg uwalnia mnie od ciężkiego kłopotu, nareszcie zgłasza się o twoją rękę pewien jegomość.

— Kochana mamo! przerwie zarumieniona Emilja.

— Kochane dziecię! zawoła pan konsyljarz.

— Proszę mi nie przerywać, powie znów matka. Nie jesteś ani bardzo piękna, ani bogata, nie jesteś ani zgrabna ani przyjemna. Dotychczas kosztowałaś mnie już bardzo wiele pieniędzy, a bardzo mało pociechy sprawiłaś, owszem ponosić muszę tylko wstyd z twojej niezręczności i niezgrabności, dla tego powinnaś się nazywać nader szczęśliwą, że ci się trafia za mąż pójść. Dłużej nie cierpiałabym już twojej obecności na karku. Czyń teraz co chcesz, ażebyś go nie zraziła.

— Kochana mamo, przerwie Emilja, wszakże ja nigdy nie objawiałam się z chęcią pójścia za mąż.

— Chcesz więc być ciężarem dla rodziców, niewdzięczna! odrzeknie konsyljarzowa, chcesz osiąść na koszu i naśladować w tém siostrę twojego ojca, która udaje świętoszkę, a jednak właściwego najzaszczytniejszego celu zostania małżonką i matką chybiła. To są skutki nierozsądnego czytania głupich romansów; kto im się oddaje, chciałby być lepszym jak wszyscy ludzie..

— Moje dziecko, przerwie w tém miejscu pan konsyljarz, mnie się zdaje że romanse nie obrzydza nam stanu małżeńskiego, owszem one ra-

czej opisują więcej szczęśliwości w tym stanie, jak jest wistocie, i....

— I Wpań mnie się śmiesz sprzeciwiać, krzyknie konsyljarzowa, koniec końców, nie będziesz o tём dzieciństwie dysputować, szkoda czasu, a ja się spieszę do hrabiny Wernsdorf na rannego wista. Krótko a węzłowato, waćpanna pójdiesz za kapitana Balder, i dostaniesz 4000 talarów posagu.

— Moje dziecko, powie pan konsyljarz z żywością, na jaką jego naturalna flegmatyczność zdobyć się mogła, wszakże to cały majątek naszego dziecka; i ty go chcesz rzucić w ręce człowiekowi, o którym nawet nie wiemy czy co wart; bez względu na jej przyszłość, na jej zupełną niezawisłość, kiedy....

— Głupstwo zawoła konsyljarzowa z uniesieniem. Możesz się znać na twoich aktach, ale na istotnym pożytku nie znasz się mój panie. Gotówka nęci, moja duszko, a tu w mieście jest dość panien na wydaniu, jak zobaczy gotówkę nie będzie się długo namyślał, a niech się tylko pobiorą, to już oni sobie sami poradzą. Patrzaj tylko, jakiego raka Emilka upiekła; jak tylko dziewczyna męża dostanie, to wtenczas już dla

niej wszystko jest obojętne i we wszystkim da sobie radę.

To powiedziawszy konsyljarzowa wyszła, a za nią Emilja do głębi serca udręczona, ale przytém zachwycona radośnie. Pan konsyljarz zachmużony przystąpił do okna i ztę z obok łę, a wtem weszła Rosamunda, ładna pokojówka dumnej konsyljarzowej, i miłym głosikiem oznajmiła że czekolada już gotowa. W mgnieniu oka wypogodziła się twarz obrażonego w swojej powadze małżonka, pogłaskał dziewczynę pod bródkę mówiąc: „zaraz idę, moje koehane dzieci.“



C I O T U N I A.

Już się miało ku wieczorowi, a ciotka Emilji przystąpiwszy do fortepianu, chciała znaleźć w symfonji Bethowena zaspokajającą odpowiedź lub współzucie co do niektórych okoliczności serdecznych i umysłowych. Drzewina pomarańczy rozpuściła miły zapach w całym pokoju, i przenosiła myśl do owej podślonecznej krainy w której lasy pomarańczowe kwitną, z tąd myśl uniosła

ją dalej jeszcze na drugą półkulę świata, a potem do miejsc, w których młode lata przepędziła i w których doświadczała naprzemian rozkoszy i udręczenia. Gdy Emilja weszła, usłyszała następujące śpiewanie:

Po za dalekie morza i kraje,
Chronić się muszę kochanku drogi,
Wszystko tu czczoscią, ciebie nie staje
Czemuż mię z tobą los dzieli srogi?

Mojego słońca świetne promienie,
Ciebie nie krzepią, nie oświecają,
A gdy noc swoje roztoczy cienie,
Tu gwiazdy inne postacie mają.

Ciche łkanie przerwało śpiew....

— Tak rzewnie poruszona, rzecze Emilja, a ja właśnie przyszłam żshy mi ciocia powinnowała; kapitan Balder żeni się ze mną.

O moja najmilsza kochanko, zawoła ciocia, ty już więc chcesz mnie porzucić? więc już żadna istota na świecie, nie będzie żyć dla mnie? Ale niech się stanie, dodała prędko, przyszedł-

zy do siebie, czy kochasz twojego narzeczonego?

— Z całego serca, ale ja go jeszcze nie znam.

— O on ciebie kocha?

— A pocóż by chciał się ze mną żenić?

— O! moja kochana, niechęć niweczyć pierwszego szata miłości, a prócz tego nie jest mi wiadomo, czyli twój przyszły zostaje pod jakim zarzutem we względzie moralności, powiadają tylko że nieco zbyt cieżko oddaje się uciechom świata, i że zostaje pod przeważnym wpływem dwóch niegodnych przyjaciół, którzy podchlebują jego próżności. Być może że to jest fałsz, w każdym jednak razie nieszczęścia, znajdziesz u mnie pewną pomoc i przytulenie.

— Wiem dobrze, że ciocia zawsze jest przeciwko stanowi małżeńskiemu. Moja matka, nie może cioci przebaczyć, żeś swojego celu chybiła.

— Cóż jest właściwie celem, albo przeznaczeniem człowieka? odpowie ciocia z uśmiechem, dać życie i wychowanie potomstwu? jest to wiele, ale jeszcze nie dosyć, — trzeba żebyśmy siebie samych ukształcili i uczcili, to jest prawdziwy cel naszego istnienia. Prócz tego należałoby, jak dawniej, za pomocą klasztorów i

zakonów, położyć pewną tamę przeciwko zaludnieniu, dla zapobieżenia ażeby świat nie wrócił się do barbarzyństwa, do którego już zmierzają.

-- Ale kochana ciociu, zawsze słyszałam że zaludnienie przyczynia się do cywilizacji.

— Tak jest, to prawda, ale nam teraz zagraża przeludnienie, i nie pojmuję dla czego w tej mierze praw nie postanowiono. Ludność zwiększa się w postępie artmetycznym, a użyczenie ziemi w postępie geometrycznych. Naturalnie musi ztąd koniecznie wypaść przewyżka co do ziemio-płodów, i te w swoim czasie stanąć muszą na najwyższym swoim szczycie; ludność może się powiększać do nieskończoności, a to tém szybciej im bardziej udoskonalenie rzeczy ziemskich wzmagać się będzie. Im bardziej śmierć, niedostatek i dolegliwość będą uchylane, tém bardziej choroby, wojny, uciążliwości i zbrodnie, znikać muszą, wskutku większego wykształcenia się ludzkości, i nie ulega żadnemu zaprzeczeniu, że wszystko cokolwiekby się przeciwko temu dało powiedzieć, to najwięcej dowiedzie, że epoka takiego przeludnienia jeszcze jest daleką. Ze ona kiedyś nastąpi, nie ma wątpliwości, tak właśnie jak że ciało ludzkie nawet bez choroba

ulegać może śmiertelności, skoro naczynia żywotne długim istnieniem się zepsują. — Dopiero to, jak ziemia będzie przeludnioną, wtenczas rodzaj ludzki wpadnie w moralne i fizyczne poniżenie, i sama się wzajemnie będzie niszczył. Wtenczas bywajcie zdrowe, sztuki i nauki, bo ludzie będą mieli nadto pracy w obmyślenia sobie pożywienia koniecznego; bądźcie zdrowe piękne lasy dębowe; wyrabiaj was, żeby zyskać miejsce sposobne do obsiania ziarnem; pożegnaj się z wsiami, miastami, bo ludzie w jaskiniach będą musieli mieszkać, żeby tę ziemię użyźnić. Ah! wtenczas cała ziemia podobną będzie do wielkiego mrowiska, w którym jeden drugiego będzie potracał. — Możemy mieć gotowy przykład tego wszystkiego z Chin, kraju od tysiąca lat w sobie samym zamieszkałego, gdzie nawet wielożęństwo do zaludnienia się przyczynia. W Pekinie, stolicy tego państwa, znajdują codzień zrana na ulicach mnóstwo dzieci, które rodzice własni wyrzucają jak szczygnięta, a które zbierane na publiczne wozy, bywają topione. Każde stadło małżeńskie na wolność zatracenia dzieci, których wyżywić nie może, Jakież poniżenie godności człowieka? Myślałby może kto, że w tym kraju cywilizacya zaginęła, nie, utrzymuje się ona za staraniem bezżelców,

których Chiny posiadają wielką mnogość w osobach kapłanów. — Kochana Emiljo, nie dla tego ci to wszystko powiadam, ażebym cię miała zamiar od stanu małżeńskiego odwozić, nie bynajmniej, chcę tylko, abyś ten stan za błogosławieństwo nieba nie uważała.

— Zaczynam już pojmować, odpowie Emilja, że bezzenni nie są niepotrzebnymi członkami ludzkiego społeczeństwa.

— Zapewne, powie dalej ciotka uniesiona zapalem. Szczytniejsza część życia tych tylko jest udziałem, którzy nie mają do czynienia z pozio-
mymi troskami. Przez klasztory dochowano do naszych czasów zabytki cywilizacyi Greków i Rzymian. Krucjaty, odkrycia nowych części świata, winniśmy stanowi bezzennemu. Bezzęństwo zakonników, przeciwko któremu ludzie tyle rozprawiali, ma swój zarodek w najszlachetniejszych zamiarach.

— Ale miłość? przerwie Emilja z nieśmiałością.

— Kto ją zna? — o, pozwoliłam moim myślom bujać w przeszłości, dzisiaj weziasie mroku, kiedy światło księżycy zaczęło się przez okno przedzierać. Tak jest, kochałam, kochałam z całą mocą mojego serca — nie upatrywałam w moim ko-

chanku ustalenia losu, lub środka błyszczenia w świecie, nie, widziałam w nim ducha, do którego dusza moja przylgnęła. — W tém miejscu ciotka zamilkła nieco, a Emilja nie mogąc pojąć tak bujnych wyrażeń, prosiła, aby jej opowiedziała po prostu materialne okoliczności względem jej romansu. Dowiedziała się, że ciocia w młodości swojej kochała namiętnie młodzieńca, który zniewolony czasowemi wypadkami, udał się do Brazylii, gdzie wczesną śmierć znalazł. Od tego czasu, zakończyła ciotka, żaden już mężczyzna nie poruszył mojego serca; wszystko naokoło mnie miało postać dziką, zpowszedniałą, zimną i nieszlachetną. Nic mnie nie przynaglało do stanu małżeńskiego, który pozbawiony miłości, żadnego szczęścia nie obiecuje, i zostałam samotną. Żyję dla nauk, przyjaźni i dobroczynności, głos wewnętrzny powiada mi, że dopełniam mojego przeznaczenia na ziemi, a radosne uspokojenie duszy czyni mnie szczęśliwą.

Emilja kłówała rękę ciotki i odeszła z nmysłem zupełnie inaczej usposobionym, jak kiedy do niej przyszła.

S T A N M A Ł Ź E Ń S K I.

— Proszę cię Emiljo, żebyś się tém zajęła, iżby dziś wieczera lepszą była jak wczoraj, mówił rotmistrz Balder do swojej małżonki, dopiero od sześciu miesięcy zaślubionój. Baron i porucznik przyjdą dziś na partję L'hombra.

— Znowu? odpowie Emilja z goryczą, czy już żadnego wieczoru nie możesz dla mnie poświęcić? Będę grać na fortepianie, śpiewać, będę ci czytać...

— Otóż to właśnie, co psuje kobiety, dzisiaj nie zaprzatają się one niczym innym jak muzyką, literaturą, a o kuchni ani pomysła. Żołądek najpierw musi być zaspokojonym.

— Służąca może bezpiecznie.....

— Masz w tém słusność, przeto też gospodynie takie jak ty, są w domu niepotrzebne, a służące bywają zawsze zdrowsze i zdatniejsze.

Tu już Emilja dłużej wstrzymać się nie mogła. Boże mój, zawoła rozplywając się we łzach, także się zjiszczają moje ulubione marzenia o miłości i szczęściu domowém?

— Czegoż więc chciałeś? co znaczy to niedorzeczne szlochanie? krzyknie Balder, rozumiesz, że się dam twoim kaprysom powodować. Najpierwszym obowiązkiem żony jest posłuszeństwo, idź do kuchni, czyn twoją powinność, a wtenczas może będę dla ciebie łagodniejszym.

— Tyranie, zawołała Emilja w najwyższym uniesieniu, następujesz z pogardą na moją godność, znieważasz mnie, pragnąc mieć ze mnie niewolnicę twoich przywidzeń, dłużej nie zniosę tej hańby. Strwońłeś twój majątek, zmarnowałeś mój posag, nie długo sama będę musiała szukać schronienia u rodziców.

— Oho! przerwie rotmistrz z śmiechem, nie bój się, twoi rodzice nie zechcą cię zapewne do domu przyjąć, bo im wiele na tém zależało, ażeby się ciebie z niego raz pozbyć. Co do moich wydatków, proszę się wcale do tego nie mieszać, nie potrzebuje, aby moja żona miała być moim ministrem skarbu; w końcu, nie poto się żeniłem, żeby żyć jak ślimak, a kiedy byłem bezzennym, nie w jednej rzeczy lepiej mi było jak dzisiaj.

— Baldér! zawoła Emilja z gwałtownością, zostałaś twoją żoną przez najgorętszą miłość, a w twojem sercu najmniejszej iskiereki cnotliwej wzajemności nie znalazłam. Znosiłam cierpliwie, pielegnowałam cię z troskliwością, błagałam... wszystko daremnie; surowa zmysłowość, tyrańska srogość, były moim udziałem. Ponurość twojej twarzy, jedno tylko szczęście w kartach może wypogodzić, albo kieliszek rozpędzić. Czyniłam wszystko co mogłam i co dobra małżonka czynić może, ale teraz już się skończyło. Jesteś zimnym glazem, z którego trudno wydobyć iskrę życia. W twojej zakamieniałości dążysz w przepaść — bywaj zdów! — To powiedziawszy, zdjęła z palca ślubną obrączkę i rzuciła pod nogi mężowi, któ-

ry ją podniósł i z najzimniejszą krwią na swój palec włożył, mówiąc: Mościa pani, ani łyż, ani dąsania kobięce, nie zdołają mię nagiąć pod twój pantofel.

Obadwaj oczekiwani gracze L'hombra nadeszli, a Emilja usunęła się bocznemi drzwiami.

D O M R O D Z I C I E L S K I.

Zaraz po tój nader nieprzyjemnój scenie, Emilja pobięła do domu rodziców, których właśnie w nienajlepszym humorze zastała, albowiem matka przegrawszy w karty znaczną summę, żądała od męża pieniędzy. — Skoro Emilja z płaczem opowiedziała swoje dolegliwości, matka powstała na nią w największym gniewie: „Twój mąż ma słusność, zawołała, zupełną słusność, czy ja się to mało nagadałam: idź do kuchni, naucz się gotować, prządź, ceruj, ale to nie podobalo się

pannie, wołało się bawić książeczkami, muzyką, a to wszystko kosztowało Bóg wie jak wiele. Jeszcze z graniem na fortepianie jako tako, bo częstokroć to ułatwia dostanie męża, ale jeżeli coś podobnego spodoba się koehankowi, mąż zawsze przekłada nad wszystko wygodę, baczny nad gospodarstwem, a nie bardziej dla niego jest nieznośnym, jak kiedy żona chce być od niego mędrszą. — Wróć się zaraz do twojej powinności, idź do kuchni, przyprawiaj mężowi dobre potrawy, a on będzie dla ciebie dobrym.

Pan konsyljarz, chociaż to małżonek i chociaż żona jego dopiero co mówiła o wyższości i prerogatywach głowy domu, przecież nie śmiał ust otworzyć, a Emilja śmiertelnie udręczona, zwróciła swe kroki do cichego mieszkania ciotki, gdzie przyjaźniejsze przyjęcie znalazła.

O! rzecz ta ostatnia, wysłuchawszy smutnego opowiadania Emilji; toż to właśnie czyni nas na ziemi nieszczęśliwemi, że pragniemy kosztować doskonałego szczęścia, a żyć powinniśmy jedynie w szczupłym zakresie sereca.

P Y R M O N T.

— Młodej kobiecie prędko sprzykrzy się stan wdowieński, nie obawiaj się, ona sama powróci, a teraz braciszku pojedźmy sobie do Pymont, a tam, szczęśliwy los, fortuna, naprawi twoje drobne przykrości. Tak mówił baron Walter do rotmistrza Balder, który smutno stał w oknie i padającemu deszczowi się przypatrywał.

— Nie usłuchała mojego surowego przykazu powrócenia do domu, zdaje mi się, żeście mi złe radzili, możebym ja z nią daleko był szczęśliwszym

— Nędza to, filistynska szczęśliwość, przy której nie można życia użyć, i trzeba z nudów usychać. Dalej, żywo do Pyrmont!...

W pysznych aleach pyrmontskich kąpiel, w których pod cieniem ogromnych lip, goście obojętnej płci przechadzki używali, zeszedł się rotmistrz z swoim przyjacielem, w chwili kiedy właśnie orkiestra miejscowa grać zaczęła. Wszystko co żyło cisnęło się do źródła zdrowia, które w końcu czteroramienną alei, 500 kroków długiej a 40 szerokiej, wytryskiwało z dzioba łabędziego, na którego grzbiecie mały jeździec spoczywał.

— Braciszku, jesteś zamyślony; prawda że tu nudy, ani jednej pięknej twarzy nie zobaczysz, odezwał się Baron do Rotmistrza.

— Dla czegożś mi nie pozwolił w domu zostać, ze mną zupełnie się tak samo dzieje jak z potopieńcami w powieści Sultana Wathaka, żadne uciechy ziemskie nie mogły ich poraszyć, bo mieli w sercu węgiel żarzący. Czytałem dopiero gruntowne i ciekawe dzieło o wodach pyrmontskich przez miejscowego lekarza.

-- Nudna książka, o której Kotzebue w swoim Tygodniku literackim wyrzekł, że dla chorych nadto jest trudną do zrozumienia. I ja też nie mogę jęj czytać, nie tam, nie piszą jak tylkoj o Faubie i Florze pyrmontskiej, kiedy nas wyłącznie Fortuna zajmować powinna.

Dziś przy ohiedzie musimy się szampanem zasilić do potyczki, a potém dalej do króla Faraona na zielone morze.

Po obejrzeniu miejscowych osobliwości, a między innymi galerji obrazów w pałacu, dwaj przyjaciele wzięwszy się pod ręce, zdązali na obiad, po skończeniu którego udali się na przechadzkę w aleje. Mocno osłoniąa, młodzieńcza i powabna postać, ściągnęła na siebie ich uwagę. Towarzyszyła jęj dosyć podeszła w latach dama, do której tamta mówiła: Już niedaleka chwila, a dzwonek da się slyszć, aby znów tak jak wczoraj, odciągnąć męzczyzn od naszej towarzystwa. Nie wiem co się to znaczy, że oni zrazu ckazywali na twarzy jakąś niespokojność, a kiedy po niejakiu czasie wrócili, i rysy ich twarzy były zmienione, jedne wyrażały ponurą niechęć, drugie zaś odrażającą zazdrość.

— Przepędzali oni czas przy banku, aby bez trudów i pracy zyskać złoto, kosztem rozpaczyny innych.

— I dla tego wolą zaniedbywać kwiecistą naturę, przyjaciół, kochanki, ażeby rozpacz zyskać O! gdyby nigdy szulernie nie istniały!

— Natenczas byłyby pustki w Pymont. Większa część gości dla gry tylko tu przybywa:

Wtém rozległ się ostry odgłos dzwonka, do kart wzywający, a Rotmistrz pobiegł z swoim przyjacielem do pokoju pełnego zaduchu i milczących postaci, w którym koło szczęścia z nadzwyczajną szybkością się obracało.

— Dreszcz mię przejmuję, rzeknie cicho Rotmistrz wdychając i ocierając pot z czoła, ocknąłem się z mojego odurzenia, a jeżeli grzeszę, to już nie z upodobania.— Zakładał on nadzieję na fortunę, aby odzyskać część pieniędzy do pułkowej kassy należących, którą naruszył wtenczas, kiedy jego żony posag, nietumiarkowane życie i dłużnicy pochłonęli. Przyjaciół jego Baron, utrzymywał się jedynie kosztem lekkomyślności i powolności drugich, których zręcznie potrafił uwikłać w swoje sidła, zapomocą podeńlebiania ich próżności.

Balder przystąpił do zielonego stolika, otoczonego zamysłonemi i milczącemi graczami. Wyciągnął kartę na los ... dama czerwonna .. wspomniał na znieważoną, ale zawsze kochaną małżonkę. — Wygrała na parol i *sept lewe*. Rotmistrz stawiał 50 lujdorów na pierwszą figurę jaka padnie, i wygrał na.... czerwonną damę, a nie ściągając wygranęj, podwajał ją wciąż, wygrywając zawsze na damę czerwonną. Jle razy postawił inną kartę, przegrywał; inni gracze probowali stawiać na kartę która przynosiła szczęście Rotmistrzowi, ale zawsze przegrywali. Później postanowił na *couverte* z parolem 100 lujdorów, bankier ciągnie z zimną krwią: *huit et dix, valet et dame*. Balder odwraca swoją kartę.... dama czerwonna. Znaczną sumnę wygrał Rotmistrz i w duchu pomyślał sobie: „Droga Emljo, obrazilem cię ciężko, ale cię zawsze Kocham i ty mię wyratujesz“ — Dama czerwonna wygrała jeszcze cztery zagięcia, co się rzadko zdarza, a wszyscy gracze z zadumieniem po sobie spojędali. Wielu usunęło się od stolika, a bankier przeklnął tajemniczą kartę która jedaym razem zdogacila Rotmistrza.

Balder chciał także odstąpić od gry, gdy w tém zawołano: „Wprzód *revange!* mości panie.“ Został, zawstydzony że uchybił prawom gry, chociaż nie wahał się w przód gwałcić prawo honoru obywatelskiego i ludzkości. Zaczął grać na nowo już nie na damę czerwienią, i każdą stawkę wygrywał. — *Jeu fait* rzekł bankier, *Attention!* przerwie gwałtownie Balder, i podsuwa kartę zakrytą bez załamania, mówiąc śmiało: *Va banque!*

Zbladł bankier, i drżącą ręką głosem ciągnął, *huit et deux* ale zamiast *valet et dame*, padło *dame et valet*, i dama czerwienią wygrała... dla bankiera. Z przytłumionym głosem rozpaczy wybiegł Rotmistrz z pokoju, a za nim pobiegł baron. Biedaku! ale pocóż u tysiąc djabłów nie miarkowałeś się. No, co tam, uspokój się, wszakże tylko właściwie twoje 40 ludzorów stawki przegrałeś.

— Ale moje nadzieje, westchnął Rotmistrz.

— To nas nie może uwięść... pójdźmy do teatru.

— Tego wieczora nie grano, albowiem sławny kaznodzieja Dräseke z Bremy, miał przemowę w balowym salonie, i wszystko się tam cisnęło.

„To jest osobliwość, rzecze baron, żeśmy w podobny sposób na kazanie przyszli!“

Pastor poruszył wszystkich serca. Nie jedno oko załalo się łzami, a uznanie słuszności i niesłuszności, przebiło się jakby jakie światło do duszy słuchaczy. Kiedy Balder wyszedł z przyjaciелеm z sali, rzekł do niego baron: Co będziemy robić?

— Precz ode mnie pokuso piekielna! krzyknie Rotmistrz i pobiegł w gęsty las.



OBOWIĄZEK MIŁOŚCI.

W pokoju, którego okna wychodziły na wielką aleję, leżała na sofie zasłonięta zupełnie dama, głęboko poruszona; załamała piękne białe ręce, i strumień łez oblał jęj lica. Przed nią stała druga dama starsza, która napróżno usiłowała płaczącą uspokoić.

— Droga ciociu, czegoż to ode mnie wymagasz? jaby'm miała ratować niegodziwego, i żyć z nim znowu, niecierpię go, brzydzę się nim.

— Emiljo, czy mam cię uważać za tak zakamieniałą, iż ty, chrześcijanka, wiedząc jak Jezus Chrystus przebaczał na krzyżu swoim nieprzyjaciółom, nienawidzisz człowieka dla tego, że on niewolniczo ulegając namiętnościom, które go jakby złe jakie duchy opanowały, poniżył uczucie twojej godności. Nie żądam ja, tak jak twoja matka, abys się przed nim niegodnie płaszczyła, i z pokorą i żalem do niego wracała, albowiem ludzie nie powinni ślepo poddawać wrodzonych swoich uczuć, pod prawidła światowości, bez obrażenia cnoty i mocy charakteru, lecz przeciwnie, starać się nam należy szukać środków do pogodzenia naszych powinności z naszymi chęciami i skłonnościami.

— Jakżeż się może zgodzić pożycie z Balderem z mojami życzeniami?

— Zgodzi się, jeżeli Balder zostanie napowrót takim, jakim go twoja wyobraźnia wystawiała sobie; a do tego ma on mocną duszę i umysł. Uwolnij go tylko z zaczarowanego pałacu namiętności, pokonaj smoków i straszidła, które go pilnują, wszakże nieraz tęskliwie wzdychałaś, że nie żyjemy w bajecznym świecie Wielanda.

— Lecz jakimże sposobem dokażę tego!

— Weź na pomoc miecz i tarczę, to jest: powinność i zaufanie w Bogu. Kochałaś niegdyś kapitana, jeżeli twoja miłość niczém inném nie była, jak urokiem zmysłów, zrodzonym przez czytanie romansów, a następnie spłoszonym rzeczywistością życia, o! natenczas żal mi cię Emiljo. Prawdziwa miłość śpieszy na ratunek, uwolni, ocali!

O F I A R A.

Tymczasem Balder błądził po łąkach i lasach
unikając ludzi jak wygnaniec. Gwałtowne ude-
rzenie do głowy wzburzonej krwi, rzuciło go o
ziemię, i już unniemał, że koniec jego życia zbli-
żył się, albo przynajmniej utraci na zawsze pamięć
i rozum. Upadając, uderzył głową o kamień ostry;
ocknął się znudzony i osłabiony, i przekonał się
z przerażeniem, że nie utracił ani życia ani zmy-
słów.

Już się zciemniać zaczynało, a nieszczęśliwy gracz znajdował się o pół mili od Pymont. Ze zgrozą ujrzał się nad siarczystą jamą, której tego jeszcze rana przypatrywał się z taką nadzieją, a która teraz wydawała mu się jak otchłań piekielna. Niebo pokryło się czarnymi chmurami. Ciemne i obciążone obłoki rozpostarły się, przez które błyskawica i pioruny migotały. Kapitanowi często zdawało się, jakby za sobą widział postać w bieli, i jak gdyby słyszał stapanie, ale wśród burzy niepodobna mu było przekonać się, czy to prawda. Znękanym, padł na ziemię, wołając: — „Zdaje mi się, że już nie żyję, że stanąłem na strasznym sądzie, a przed oczami moimi widzę wyraźnie cały bieg mojego życia, i poznaję moją duszę. Niebo udarowało mnie najpiękniejszym na ziemi dobrem, dobrą i ładną żoną, jej szlachetność powinna była ujarzmić dzikie moje namiętności, a ja walczyłem przeciwko niej z najczarniejszym okrucieństwem. Biała mi, źle zrozumiany fałszywy punkt honoru zamknął moje serce dla rozsądku i cnoty, właśnie dla tego, że mnie do nich moja żona zwracała. Sam niezdolny władania, bałem się nawet cienia być rządzonym. Podchlebni, zauszni, więc u mnie wiary mieli, jak małżonka.“

Poświst wiatru pozwolił teraz wyraźnie usłyszeć westchnienie istoty żyjącej, zamilkł na chwilę, potem dalej rozpoczął: „Ubolewasz nade mną mój dobry jeńcuzu, o! ja już dawno byłem zgubionym. Nie ma dla mnie ratunku, jestem sehańbiony, wypędzą mnie z pułku, na całe życie do fortecy osadzą. Ale trudno,... muszę odpokutować, a lepiej tu... niżeli tam;... lecz ona... miałaby i ją dotknąć hańba męża?... Nie, Emiljo, poniosę śmierć, a ty zostaniesz wolną, i umrę spokojniejszy.

Wtém rzucił się na schody prowadzące do jaskini siarczanéj; z całą gwałtownością głuchy odgłos rozległ się naokoło, i przekonał, że drzwi oparły się wysadzeniu. Błękitnawe wyziewy siarki otoczyły go, gdy wtém biała postać ukazała się nad otworem, i łagodnie przemówiła: „Ferdinand!“

— Czy to mój anioł stróż? zawoła kapitan.

— Ja jestem, Emilja, powtórzy postać w bieli na górze, wychodź tylko, a wtém i druga postać zbliżyła się odkrywając ciemną zasłonę. Była to jej ciotka.

Nie mógł się oprzeć kapitan prośbom małżonki. Serce jej nie знаło już gniewu, albowiem wy-

śluchała go i przekonała się, że jest kochaną. W takim stanie rzeczy kobieta wszystko przebaczy, i spodziewa się wszystkiego. -- Ciotka wzięła na siebie ułatwienie kapitano wi powrotu do spokojnego życia obywatelskiego, przez zaspokojenie jego długów, a Balder uroczyście przyrzekł i dotrzymał: nigdy nie grać w karty, unikać fałszywych przyjaciół, prowadzić życie porządne, i czułym przywiązaniem do małżonki, wynagradzać jej zmartwienia i zawdzięczać ocalenie go od wiecznej zguby.

POWRÓT² ZDROWIA

PANA LEGOUVÉ.

CZYLI POEMA „ZALETY KOBIEC.”

Dzień imienin panny Contat którą bezstronna publiczność zawsze nazwiskiem Talji zaszczycała, sprowadził do jéj dóbr Ivry, bardzo wiele osób. Wszysey literaci i sławni artyści Paryża, połączyli się w tém rozkoszném zaciszu, dla złożenia holdów zasłożonych temu pierwszemu ta-

lentowi sceny Francuzkiej. Legouvé postrzegłszy iż wielu znakomitszych poetów i najweselszych spiewko-pisarzy zatrudniało się uświetnieniem téj Ludwiki jeszcze pięknej, i której rozum i wdzięki wieczne w pamięci zarysy zostawiały, nie chciał się od nich oddzielać; i chociaż ulubieniec Melpomeny, chciał ponure brzmienie swój lutni, nastroić wdzięczną wesolością Muzyjój rywalki. Wczasie balu, kiedy wszystkich uczonych do których się przyłączyli znaczniejsi mieszkańcy wioski zajmowały gry najprzyjemniejsze w salonach, śpiewak Ahla, z natury skłonny do najśłodszej melanholji, zagłębia się wzwierzyniec, i oddaje się natchnieniom swój wyobraźni. Już było późno i noc już wiednokrag ponurym osłoniła kirem. Gęstość liści pod któremi bładził poeta, więcej jeszcze okrywała dróżyny które ni postępował i którego przypadkiem wyprowadziły na długą aleję od zamku oddaloną. Nakazująca wyniosłość drzew, cisza darząca natchnieniem, która ze wszech stron panowała, wszystko go wabiło do przebiegnięcia tego rozkosznego ustronia, tak oświeconego od zachodzącej wieczornój zorzy. Postępuje, nie myśląc gdzie jest, idzie zupełnie oddany zajęciu poetycznemu jeszcze jeden krok postąpił i wpada w rów bar-

dzo głęboki oddzielający wielką drogę od zwierzyńca. Upada na kamienie, między krzewy i ciernie, łamie lewą kość ramienną i długo bez zmysłów prawie zostaje.

Tymczasem żywa wesołość odzywała się w salonach zamku; rozkosze i zabawy jakie tylko ton dobry i dowcip francuzki wynaleść może, łączyły się do świetności sztuk, do wdzięków przyjaźni. Spostrzeżono że Legouvé nie był obecnym: „O-tóż mamy, rzekł jeden z jego przyjaciół, znacie bardzo dobrze jego upodobanie w samotności; zdaje mi się że go widzę siedzącego w ogrodzie pod cieniem liści, zajętego dodatkiem nowego wstępu, do swego poematu melancholja.“ Powstał śmiech, na nowo gry się rozpoczęły. Już było późno, już dano do stołu, a Legouvé jeszcze nie powracał. Niespokojność i najtkliwsze zajęcie się nim, nastąpiło po żartach: szukają go, wołają; nie wiedzą czemu przypisać to zadziwiające zniknięcie, kiedy wieśniacy wracający do swych mieszkań, doniesli, że słyszeli jakieś bolesne jęki przy końcu ogrodu, od strony wielkiego gościńca prowadzącego do Vitry. Natychmiast spieszą tam z pochodniami, przybywają do rowu, i znajdują tego nieszczęśliwego nurzającego się we krwi i prawie bez znaku życia:

Usiłowania nadzwyczajne dla wydobyć się z téj przepaści, wycieńczyły resztę sił jego, do tego stopnia, że ledwo w salonie odzyskał przytomność, gdzie był przyniesionym prawie bez duszy na ramionach swych przyjaciół. Natychmiast przedsięwzięto prędką pomoc i skuteczną.

Po dopełnieniu pierwszego opatrzenia, uradzono, iż trzeba przewieść go do Paryża jak można najprędzej. P. Contat głęboko wzruszona i z oczami lez pełnemi, wpośród licznych hołdów, które ją otaczały, sama chciała w swoim powozie odwieść rannego; i ta piękna uroczystość, która aż do rana miała przedłużyć rozrywki i przyjemności wszelkiego rodzaju, zmieniła się nagle w powszechną żalobę, która smutną krepę rozciągnęła nad zamkiem Ivry i jego okolicami.

— Pomimo starań rodziny i pomocy sztuki lekarskiej, Legouvé zawsze czuł skutki tego nieszczęśliwego przypadku. Jego powrót do zdrowia był bardzo powolny i pełen boleści. Jego organa osłabione gwałtowném wstrząśnieniem, którego doznał, nie odzyskały już swéj pierwszej siły; dusza jego tylko zachowała niezmiennie swoję miłą słodycz i tkliwość. Nigdy nie był bardziej zajmującym, bardziej czule kochanym, i nigdy nie okazał się godniejszym tego. Nakoniec po kilku mie-

siacach, doszedłszy do stanu zdrowia bardziej zaspakajającego, został namówiony przez lekarzy, aby udał się do morskich kąpiel, które same tylko mogły go wzmocnić i zupełnie uleczyć. Jeden z jego dawnych, szkolnych jeszcze przyjaciół, mieszkający w jedném portowém mieście, którego był prawie najznamoźniejszym obywatelem, prosił go, aby u niego przepędził czas niejaki, ofiarując się powieść go do kąpiel, z których wrózono sobie tak wiele dla jego zdrowia. Ten przyjaciel, był mężem kobiety rzadkiej piękności, która połączyć umiała w swoim domu, wszystko co najznakomitszego posiadało miasto, w którém mieszkała. Za szczęście miała sobie przyjmąć u siebie autora *zalet kobiet*, tego śpiewaka wymownego, tego gerliwego obrońcę płci, na którą sławni pisarze nieraz z goryczą powstawali. Kazała przygotować dla niego nader wygodne pomieszkowanie, w którémby się mógł spokojnie oddać swym zatrudnieniom literackim, które tylko jedynie sprawialy mu kilka-chwilowe szczęście i zapomnienie nieszczęść wycierpianych.

Nakoniec dzień jego odjazdu był oznaczonym niewątpliwie, a jego blizki przyjazd stał się wielką nowiną dla całego miasta. Uczeni postanowili uświetnić jego pobyt między niemi; przyjaźni naj-

czulsze starania łożyła, a wdzięczność podała zamiar damom, wydania zabawy, któraby mu przywiodła na pamięć urocze farby, któremi je z taką określił starannością w swym poemacie.

Legouvé wyjechał pocztą w towarzystwie starego służącego, przy końcu lata r. 1810. Chcąc uniknąć noclegów w oberżach, przejechał przez Rouea bez odpoczynku, i dojechał aż do Lisieux. Tam utrudzony podróżą, uczuł pierwsze skutki febry nerwowej, które nadaremnie chciał ukryć przed dobrym służącym. Bładość wyryta na wszystkich rysach, wzruszenia konwulsyjne i bardzo częste, których nie mógł utrzymać, ponura powłoka okrywająca jego oczy, zwykle do gruntu przenikające, wszystko zdradzało jego cierpienie, jego słabość; i jego kamerdyner dokazał nakoniec, że się wstrzymał w tém mieście. Ożywiony chwilowém spoczuciem i pragnąc jak najgoręcej przybyć do miejsca, gdzie go oczekiwał jego przyjaciel od dzieciństwa, wola o konie i puszcza się w drogę. Za ledwie pół stacji pocztowej ujechali, uczuł, że ziarno śmiertelne wszystkie jego członki przejmowało. Febra podwoiła swą siłę i nie bez wielkiego usiłowania przybył do wioski d'Estreez, pierwszój stacji pocztowój po Lisieux. Wchodzi de najlepszej oberży, wspierając się na ramieniu

swego wiernego towarzysza podróży, któremu dopomagała gospodyni oberży i wszyscy jój ludzie; był zaprowadzony do stancji obszernej i wygodnej, położono go w łóżku jak można było najlepiej przygotowaném. Czy nie ma u was doktora albo w pobliskości, zapytał się poczciwy służący gospodyni. „Jest tylko jeden, odpowiedziała, o pół mili stąd, ale ten nie bardzo jest dbały na cudzoziemców. Idź pan sam do niego, dam mu przewodnika, a w godzinę możesz pan być z powrotem.“ Bardzo jój dziękuję, odpowie służący, ale przyrzecz mi pani, że mego pana ani na chwilę nie opuścisz, jest on godnym wszystkich zabiegów wpani, i zasługuje na tyle względów!... Jest to człowiek sławny, członek akademji francuzkiej; krótko mówiąc, Pan Legouvé, przy którego byłem urodzeniu i którego tak kocham, jak kochałem jego ojca.

Bać wp. spokojny, odpowiedziała gospodyni, z tą otwartą wesołością i tym tonem dobroci: przyrzekam mu zastąpić go wiernie przy jego pannu... Pan Legouvé mówisz wpan!. Tak, najlepszy z ludzi i najgodniejszy przyjaciel pleci pięknej...

To wyrzekłszy, nagle wychodzi, i biegnie w towarzystwie chłopca z oberży szukać wzmiankowanego doktora.

W kilka chwil po jego odejściu, Legouvé doświadczający tylko przemijającego paroxyzmu, zasypia i jego sen zdawał się tak spokojnym, że gospodyni przywołana gwałtownymi zatrudnieniami oberży, a nadewszystko przybyciem dwóch ósm, z zamku z okolicy, których powóz potrzebował maléj naprawy, zostawia przy chorym piękną służącą, nakazując jej natychmiast ostrzedz ją skoroby się Legouvé obudził.

Zeszła do dolnej sali i zastała baronową de *** i jej siostrę, zamężną od kilku miesięcy, które używały spoczynku czekając na ukończenie naprawy powozu. Te damy odbywały podróż własnymi końmi i chciały koniecznie wieczorem stanąć nad portem morskim, aby być na ucztę, którą tam dać miano dla autora *zalety kobiet*, i na którą były zaproszone przez przyjaciela tego sławnego poety.

Gdy te damy posilały się na prędcie, gospodyni usłyszawszy, że wołano służącą którą przy chorym zostawiła, rzekła, że Helena jest zatrudnioną. „Ona jest przy tym jęgomosci, który do nas przybył tak cierpiącym, i po tém co mi po-

powiedział jego kamerdyner, ten kochany pan Legouvé, nie będzie się uskarżał że mieszkał u mnie. Jakto, rzekła baronowa, pan Legouvé jest w domu wpadł? Tak jest pani dobro: przybył dziś w stanie politowania godnym, ale dzięki Niebu, ma się lepiej, i w téj chwili miłego używa spoczynku. — A my, rzecze pociechu baronowa do swéj siostry, jedziemy do miasta aby go widzieć, poznać, i połączyć się z temi, którzy chcą uświetnić jego przytomność... Ale nie powiedzą że śpiewak tak pięknie opiewający zalety kobiet, doznał od nich tylko saméj obojętności... pani gospodyni? — Co pani rozkaże? Czy niemogłabyś nam dać osobny pokój? Możecie panie wybrać; prócz tego w którym chory spoczywa. Tak, słusznie czynisz, odpowie baronowa, że tak się nim tkliwie zajmujesz... Ale chciéj nas natychmiast zaprowadzić do przeznaczonego nam pokoju.

Wprowadzone do izby sąsiedniéj izbie pana Legouvé, uwiadomiły gospodynię o wszystkich prawach jakie miał ten poeta do wdzięczności kobiet i uczyniły ją uczestniczką ich zamiaru. Ponieważ przypadek, rzekły, dał nam spotkać naszego przyjemnego obrońcę, my będziemy obiedwie jego stróżami w chorobie, nikomu w świecie

nie ustąpiemy szczęścia czuwania nad nim i przekonaniago ile nam jest drogi.

Ale okazując się przed nim takiemi jakimi jesteśmy, obawiamy się, aby mu tém nie sprawić przykrości, albo, że nie będzie mógł przyjąć naszych starań. Trzeba więc, ażebyś nam wspaniała dała po jednej z odzieży najprostszych: powiesz, że jesteśmy twojemi krewnemi, twojemi siostrzenicami, niedawno przybyłemi; a pod tém przebraniem zabawimy chorego, i może stopniowo przyniesiemy jego umysłowi pokój, tak potrzebny jego uzdrowieniu.“ Gospodyni, która już podzielała tkliwe poświęcenie się tych dam, i która miała to sobie za szczęście, widząc je przebrane jak dwie nowe dziewczyny z oberży, przybierające ich głos, rozmowę i sposób postępowania, pobiegła szukać czego żądały. Najwięcej w przeciagu jednego kwadransa, baronowa i jej siostra były ubrane w krótkie spódniczki wełniane, w gorsety kolorowe wiejskie i fartuszki na drótkach robione, czépeczki okrągłe podług mody krajowej. pończochy pstre z Rouen, krzyżyk złoty i małe chusteczki pstre bareżowe, zręcznie zarzucone; składały to przebranie, pod którym te dwie zachwycające kobiety wydawały się jeszcze piękniejszymi. Nakoniec jedna z fartuszkiem za-

łożonym i szczytką w rękę, a druga z miotłą, idą za gospodynią do pokoju pana Legouvé, z kądem oddaliła służącą, która dawniej przy nim została.

Tak tedy te dwie znakomite damy pod prostym imieniem Lizetki i Zuzanny, porządkują i czyszczą wszystko, naokoło chorego, który się wkrótce przebudził, cokolwiek mniej cierpiący, pytając się o swego służącego. Poszedł, odpowiedziała gospodyni, do sławnego doktora z naszych okolic, stan pański niespokojnym go czynił; ale dzięki niebu, już nie jest tak źle; panu już zdaje się, że jest daleko lepiej. — Oh tak jest, istotnie moja kochana gospośiu... Ale któż są te dwie młode osoby?... Moje siostrzenice, już zameżnae, od sześciu miesięcy, przybyły do mnie dla przepędzenia tu kilku dni ze mną. Ponieważ przyrzekłam kamerdynerowi pańskiemu, że go przy panu zastąpię, a że ja za każdym razem przymuszona jestem schodzić na dół i znów wchodzić na górę, przeznaczyłam do niego Lizetę i Zuzannę, aby go nie odstępowały i niosły mu wszelką pomoc, jakiegdyś pan potrzebował. — Jleż ci nie winieniem złożyć dziękczynień! ale ja nie radzę wpani umieszczania podobnych stróżów słabości przy tych, których cierpienie do obłąkania się zbliża, nie bardzoby im pomogły do ich uspo-

kojenia. „Pan sobie z nas żartuje“, rzekła baronowa, okurzając tu i tam.

„Ci wielcy panowie z Paryża, przydała jej siostra, mają zawsze coś przyjemnego dla łudzenia nas wieśniaczek.“

— I któż ci powiedział, że ja jestem z Paryża? „Oh, my wiemy kto pan jesteś, przerwała gospodyni, pana służący wszystko nam opowiedział, najlepszy z ludzi i najgodniejszy przyjaciel kobiet, to są jego własne słowa. — Pan to wszystko nosi na swojej twarzy, rzekła udana Lizeta. — I któżby nie był przyjacielem tych wszystkich, które są do was podobnemi? odpowie Legouvé zdziwiony i z wzruszeniem. Gdy rozmowa tym sposobem się ożywiła, wchodzi służący z doktorem, człowiekiem prawdziwie uczonym i godnym zalety. Na samo imię Legouvé, którego dzieła były muznajome, natychmiast się pospieszył z ofiarowaniem mu wszystkich starań. Przybliżył się do niego z najwyższą troskliwością, i rozważywszy z jak największą uwagą słabość, oświadcza, że febra była tylko jednodniową, i nie okazuje żadnych symptomatów zatrważających. Przygotowuje i daje zażyć choremu dekolt uspakajający, i po okazaniu radości, jaką mu sprawia poznanie go,

oddala się, przyrzekając nazajutrz rano dowiedzieć się o stanie jego zdrowia.

Noc się zbliżała, Legouvé zapewniony oświadczeniem doktora, przejęty tkliwemi zabiegami, które czyniły wszystkie otaczające go osoby, doznaje szczęśliwego skutku napoju, i zasypia spokojnie. Barońowa i jej siostra, które obceobdziły się z gospodynią jak z ciotką, odesłały ją do jej zatrudnień, radząc staremu słudze, aby także udał się do spoczynku, którego bardzo potrzebował. Ten z początku czynił im jakieś przeszkody; ale utrudzenie i wiek, które mimowolnie czyniły ociężałemi jego powieki; żywa chęć dwóch siostr chcących przepędzić tę noc przy jego panu, jedném słowem przyjemność, której doznawał ten ostatni w odbieraniu starań od dwóch osób tak pięknych, wszystko skłoniło tego wiernego sługę oddalić się do przyległej izby, której drzwi otwarte zostawił; rzucił się nierozebrany w łóżko, zalecając pilnie, aby go natychmiast obudzono, skoroby tego była potrzeba.

Te dwie damy będąc już same, przybrały na powrót swój sposób mówienia naturalny. Ze wszystkich nocy spędzonych wśród zabaw i weselości, żadna nie zdawała im się być roskosz-

szniejszą jak terazniejsza. Legouvé pod tyłu zajmował ją względami. Cbodząc około niego baronowa, spostrzegła przy otworze wielkiej teki otwartęj, leżącęj na stole, książkę, której świetna oprawa ściągnęła jęj spojrzenie; przeczytała na tytule te wyrazy: Zalety kobiet. Bierze ją ostrożnie i podaje myśl swojej siostrze do przejrzienia razem tego dzieła, czuwając nad jego autorem.

Nigdy, rzekła, nie uczułybyśmy lepiej talentu w nięm ukrytego. Każda myśl, każde wyrażenie, będzie się zdawało wychodzić z ust spoczywającego blisko nas, i wyrzje w naszych sercach niestartą pamiątkę. Siadają tedy jak można było najdalej od łózka, na któręm spał Legouvé, i odczytują to czarujące poema, które już tyle razy przerzuciły, i któręgo liczne wydania rozeszły się po całej Europie. Z jakąż rokoszą uważały jaśniejące malowidło, skresłone w nięm przez autora, władzy nieprzewyciężonej piękności, wspaniałęgo poświęcenia się kobiet, już to dając nam życie, już to karmiąc nasz wiek niemowlęcy, i zachowując go od wszelkięj dolegliwości, któręm przyrodzenie poddać go chciało! Jak lubię, rzeczę baronowa, ten wierny obraz wpływu kobiet na szczęście ludzkie. Z jakim wdziękiem, uczu-

ciem Legouvé maluje matkę, kochankę, żonę i przyjaciółkę. Któżby nie był wzruszony, gdy nam przywodzi na pamięć tak pięknie szczęśliwy i słodki związek pani Sablière i La Fontena? Jak niezatrzymać w pamięci tych wierszy w których mówiąc o przyjaźni łączącej ludzi między sobą, przydaje.

Ale obok kobiety, bardziej bywa tkliwą,

Godna siostrą miłości nazwać się prawdziwą.

Wtedy to znajdujemy te słodkie starania,

Tkliwe względy, dowody czule przywiązania,

Których przyjaźń z męszczyzną w pół tylko u-

(dziela:

Choć nie kochankę, więcej masz niż przyja-

(ciela.

Co do mnie, rzecz siostra baronowej, jako żona żołnierza, to co najwięcej cenię, są to te czyny odwagi, i szlachetna uległość kobiet, czego to poema tak piękne wystawia wzory. Kocham Telesję która będąc razem poetą i rycerzem, utrzymuje oblężenie Argos; Esterę, ocalającą swój naród wystawiając się na straszliwy gniew Assura; Antygonę, poświęcającą się na śmierć pe-

wną, zagrzebując ostatki zwłok swojego brata; Eponinę, żywcem się zakopującą w ziemię z swym mężem; Veturję otrzymującą od swego syna to co odmówił przed chwilą starcom i pierwszym urzędnikom Rzymu, i tę królowę Angielską, rzucającą się między miecz katów i obywateli Kale. — Co do mnie, odpowie baronowa, ja przenoszę nad wszystkie te świetne czyny, skrytą dobroczynność tych pobożnych kobiet o których mówi Legouvé, przepędzających życie w schronieniu, przykrém do zniesienia, cierpienia i niedoli, poświęcających się zawsze dla ulgi biednego chorego, i żołnierza ranami okrytego. Tam to nie raz rozkazując swoim zmysłom i często swemu wstydomi, kobieta wydaje się dopiero w całym blasku swój dobroci i jak to pięknie mówi nasz wymowny obrońca.

Ku biednym się zniżając z szczytu pomyślności,
Bogu śluby swe składa, by służyć ludzkości.

A my nie będziemy podobniemi do tych jakimi nas wystawiasz? przydała baronowa spoglądając tkliwie na poetę spiącego jeszcze, szlachetny Legouvé! Którażby kobieta czuła i dobrze urodzona mogła ci się nie dziwić, i nie być szczę-

śliwą i dumną z poświęcenia ci wszystkich swych starań.

Te słowa mocniejszym wymówione głosem, i z najżywszym wyrazem, uderzają o uszy chorego, i nagle go przebudzają. Siostra baronowej ujrzała to i ostrzegła natychmiast oprzybranie na nowo mowy i sposobów postępowania w ich rolach. Kończą więc czytanie poematu, czynią najbaczniejsze postrzeżenia i najdowcipniejsze pochwały, jakie mogłyby czynić dwie wieśniaczki czytające to dzieło po raz pierwszy. Legouvé nie śmie im przerywać, słucha w milczeniu i cieszy się wrażeniem jakie sprawia na swoich dwóch opiekunkach. „Nigdy, mówi do siebie, nie otrzymywałem prawdziwszych, i tak pochlebnych pochwał: jakiż instykt uczuć! jaki smak czysty i niewymuszony! ah, to jest sama natura!...“
Nakoniec dwie siostry skończywszy czytanie książki, którą nie mogą się nasycić, zabierają się włożyć ją w tekę w której była poprzednio. „Co za szkoda, rzecze jedna, że trzeba się z nią rozstać! Oh, gdybym miała ją na dłużej, wkrótce nauczyłabym się całej na pamięć“ — „Przyznać trzeba, odpowiada druga, że to daje dobre wyobrażenie o nas, i że przeczytanie tej książki byłoby bardzo potrzebne dla naszych mężów“

— Ba, czyby oni uwierzyli połowie tego co tam napisane; mimo to, jeśli kiedy będę mogła dostać tę książkę... rzekła znowu mniemana Zuzia, zbliżając się do teki, — „Byłem się dowiedziała gdzie jej dostanie, muszę ją kupić, choćbym miała sprzedać mój złoty krzyżyk i koleczki.

— Daruję ją wam, zawołał Legouvé z wzruszeniem, którego nie był już panem. Przyjmijcie ten dar, moje przyjaciółki, nigdy nie zdołałbym oddać w lepsze ręce mojego dzieła.

— Jakto, to pan napisałeś tę książkę! Oh, możesz być pewnym, że zjednasz sobie wiele przyjaciół pomiędzy kobietami.

— To jest jedyna nagroda, której pragnę.

— Wasz stary sługa miał słusność, mówiąc, że pan jesteś zacnym człowiekiem. Ale czyliż doprawdy chciałbyś nam darować tę książkę.

— Przeznaczałem ją dla dobrej i pięknej kobiety; życzenie moje w dwójnasób spełnia się, ponieważ dwóm ją oddaję. — Żąda natychmiast atramentu i pióra, i pisze własną ręką na pierwszej kartce poematu: *Ofiarowane przez autora Elizie i Zuzi, które go pielegnowały w słabości.*

Tymczasem dzień zaczyna się pokazywać, stary sługa i gospodyni przybywają do pokoju Legou-

végo, który przez rozlaną radość w twarzy, uspakaja ich względem swego stanu zdrowia. Mniemana ciotka nakazuje swym siostrzenicom udać się do spoczynku, tak im potrzebnego; i po nowych dziękczynieniach i oświadczeniach wzajemnych, poświęcenia się i wdzięczności, baronowa i jéj siostra udały się do sąsiedniego pokoju, gdzie zostawiły swój zwyczajny ubiór, który natychmiast przywdziały, wydały rozkaz, aby założono konie, wynagradzają hojnie gospodynię, zapewniają się o jéj milezeniu, wsiadają do pojazdu i udają się do miasta, gdzie były od wczoraj oczekiwane. Przybyły o godzinie 10, wysiadają do przyjaciela pana Legouvé, i tłumaczą się, iż dopiero dnia dzisiejszego zrana mogły z swoich dóbr wyjechać, i że mała zmiana, która postrzegać się dawała w ich przyjemnej postaci, była skutkiem chwilowém utrudzenia podróży.

Doktor powrócił w czasie przeznaczonym; oświadczył, że przystęp febry był zupełnie zniszczony, przypisał to sporządzonemu przez niego lekarstwu, co istotnie sprawiła radość, którą mu sprawiły dwie przyjemne siostry i tkliwe poniesione starania. Po oświadczeniu doktora, który się oddalił, przyjąwszy tylko to wynagrodzenie, że miał

to szczęście widzieć jednego z poetów, którego najbardziej szacował. Legouvé niecierpliwych chwili oglądania swojego od dzieciństwa przyjaciela, i obawiając się sprawienia mu jakiej niespokojności jeszcze odwołując wyjazd, wstał spokojniejszy i zdrowszy, żądając koni pocztowych. Gospodyni przyszła odebrać podziękowanie i zapłatę, do której tak wiele miała prawa. „Gdybym się nie obawiał być natrętnym, rzecze ję Legouvé, prosiłbym o pozwolenie wyrażenia na nowo mojej wdzięczności dwom pięknym siostrzenicom pani; one miały dla mnie tyle dobroci.“ — Spoczywają teraz właśnie, odpowie gospodyni, one nie są przyzwyczajone, widzisz pan, do czuwania przez całą noc. — O, gniewałoby mię to, gdyby ich sen przerwano, rzecze poufale Legouvé; ale racz być pani przed nimi moim tłumaczem: powiedz im, że unoszę z sobą w mej pamięci ich czarujące rysy, dźwięk pełen roskoszy ich głosu, i że chciałbym widzieć je całe życie moje, siedzące przy moim łóżku i sprawiające mi, czytając moją pracę, to co tylko serce uczuć może najslodszego i co tylko miłość własna najpochlebniejszego znać może! Żegnam cię dobra gospodyni! Oberża twoja powinna być w dobrém mie-

niu, jeżeli wszystkich podróźnych tak jak mnie przyjmiesz. Co tylko dokończył tych słów, wszedł kamerdyner z doniesieniem, że konie już były założone; w trzy godziny później już był w objęciach swego przyjaciela, oczekującego go z niecierpliwością i zaczynającego się martwić takowem opóźnieniem.

Było już około drugiej godziny, gdy nasz podróźny nie czując już prawie gwałtownego szwanku, kazał się zaprowadzić do przeznaczonego sobie pokoju, aby mógł się przyzwocie ubrać dla pokazania się wielkiej liczbie osób z miasta, o których wiedział, że są zaproszone na obiad dla uczczenia jego przybycia. Roskosz z ogiędania swego szkolnego przyjaciela (uczucie czarujące, które nigdy nie gaśnie) zdawało się dopełniać jego powrotu do sił, wracać mu cały zapal jego wyobraźni, zupełny wdzięk jego charakteru. Gdy się przybywa do miasta, gdzie już rozgłośnie nasze imie nas poprzedziło, chcemy się godnym tego okazać, i chociaż między ludźmi niezdolnemi do ocenienia tego, wydajemy mimowolnie całą naszą zasługę, Legouvé zaś wiedząc, że zastanie towarzystwo najprzyjemniejsze i najdobrańsze, schodzi do salonu, wprowadzony przez swego

przyjaciela. Ten przedstawia go wszystkim osobom, które utworzyły koło i pałały chęcią poznania autora: Smierci Abla i Zalety kobiet. Wita wszystkich zarówno bez różnicy; ale spostrzegając baronową i jej siostrę, które bardzo pięknie przybrane, udawały jakoby pierwszy raz miały szczęście widzieć tego tak przyjemnego poetę, zostaje nieporuszonym wśród ukłonu; chce mówić, głos niknie w ustach, chce postąpić naprzód, lecz nie zdoła ani kroku uczynić. Wszyscy odurzeni tém nagłym osłupieniem nie wiedzą czemu to przypisać. Dwie siostry z swojej strony udają największe zdziwienie, aż do zapytania się nawet o przyczynę wzruszenia okazanego na ich widok. „Raczej mi panie darować;... ale twarze, postać, dźwięk głosu nade wszystko..... Nie, przyrodzenie nigdy nie wydaje tak doskonałego podobieństwa.“ Baronowa i jej siostra, aby uchylić wszelkie podejrzenie, wydają śmiech mocny, po którym nastąpiła godność jak najszlachetniejsza. Legouvé obawiając się, czy nie obraził tych dwóch dam, i chcąc zapobiedz podejrzeniom, jakie zrodzić mogły jego uniesienia sentymentalne, opowiada szerze co mu się przytrafiło w nocy, w wiosce Estreez: „Gdyby to było tylko podobieństwo,

przydał, mógłbym to przypisać przypadkowi; ale dwie razem, i tak nderzające! Przyznacie że wszystko zdaje się łączyć do zapewnienia mię że to są te damy... , Ja widzę w tém tylko małą trudność, rzekła następnie pani domu, to jest, że moje dwie przyjaciółki dziś dopiero opuściwszy swoją wieś nie mogły przepędzić nocy przy panu. Pani, po tysiąc razy przepraszam, widzę dobrze że się mylę, że to jest skutkiem żywego wrażenia które sprawiły na moim umyśle dwie piękne osoby, stróże mojej słabości. Zdaje mi się że je widzę, że je wszędzie znajduję; i słusznie mówią że nic nie zdoła się wymazać z pamięci serca.

Wtém donoszą że już dano do stołu. Legouvé zauajęcy dokładnie przyzwoitość, i zwyczaj światowy, w każdej innéj okoliczności, nie byłby zapomniiał podać rękę damie u której był przyjmowany, która mu dotychczas tyle wyświadczyła względów, i która łączyła do postaci najpiękniejszej, ton słodczy i dobroci który zdawał się powiększać blask jéj wdzięków; ale uniesiony po ciągiem którego władzy nie mógł jeszcze zwyciężyć, podaje ręce dwom siostróm, które uważa

z nowém zajęciem siada przy stole pomiędzy baronową i żoną swego przyjaciela.

Obiad był wysmienity; wesołość, i przyjemna poufałość, wesołe żarty, ożywiały kolejno licznie zebranych gości. Baronowa i jej siostra chcąc się okryć nieprzenikłą zasłoną, okazywały w całej świetności smak tak doskonały, umysł tak jaśniejący, wymowę tak rzadką, że Legouvé zmieszany, zachwycony, wyrzucił sobie że się mógł tak uwieść, że znalazł w nich podobieństwo Lizety i Zuzanny, i powtórzył wstając od stołu, przeproszenie jak najszczersze. Jakże często, wyobraźnia myśla oczy w tém co widzą, uszy w tém co słyszą, i poddaje nasze zmysły swemu kaprysovi się i swym błędom.

Wieczór ściągnął jeszcze większą liczbę gości którzy cieszyli się przytomnością P. Legouvéktory ciągle z wlepionemi oczyma w dwie siostry, odpowiadał z roztargnieniem na zaproszenia mu czynione, na składane mu hołdy. Przedstawiają małe towarzyskie zabawki, w których wielu wydarzały się okoliczności, dania autorowi pamiętek i melancholji, pochwał najpochlebniejszych. On sam odebrał dla zaspokojenia zakładu, rozkaz czyli raczej prośbę odczytania pewnego ustę-

pu z zalet kobiet. Chętnie byłbym posłusznym, odpowiedział rumieniąc się; ale moja pamięć tak jest osłabioną, że nie mógłbym przypomnieć sobie dziesięciu kolejno idących wierszy. Gdybym miał exemplarz mojego poematu, gdybym miał ten który przeznaczyłem małżonce mojego przyjaciela... ale nie powinienem go żałować; on uiszczył się za mnie z długu tak sprawiedliwie należącego... Jest sposób rzecze baronowa, nie chcąc dłużej łudzić jego zaufania i omyłki, że możesz nam pan sprawić tę rozkosz słyszenia czytającego jego samego, to co cały świat prawie czyta: poema zalety kobiet, jest mojem ulubionem dziełem; mam w moich podróżnych potrzebach jeden bardzo bogaty exemplarz... i mogę go pożyczyć. Pochwalono to podanie; i baronowa oddalwszy się na chwilę, powraca trzymając wręku książkę której forma i oprawa uderzyły oczy Legouvé; bierze ją z rąk téj damy z największą trwogą, szuka na pierwszej stronnicy i znajduje podpis który sam napisał tego poranku w wiosce d' Estréez — „Boże!“ zawołał w uniesieniu niewymownej radości, nie zawiodłem się tedy, widzę znowu Zuzję i Lizetę znajduję moich dwóch stróżów słabości!....

Pada do ich nóg, ściska je, opowiada na nowo całemu zgromadzeniu, co te dwie szanowne damy dla niego uczyniły, i biorąc jedną rękę każdej z nich, które całuje pełen najżywszej radości i kładzie na swém sercu, rzecze do nich tonem najpełniejszym szacunku i najtkliwszym: „Sądziłem, że odmalował to, co każe ubóstwiać płęć waszą we wszystkich stanach i w każdym wieku; ale wy panie przekonałyście mię, że moje poema Zalety kobiet jest jeszcze dalekie od ich wzoru.“

ENTUZJAZM

(z *Lamartina.*)

Ganimed, gdy go porywał
Ptak z nieba do bóstwa progów,
Do ziemi się przywiązywał,
I śmiał waleczyć z ptakiem bogów!
Ale orzeł w szpony cheiwe
Pochwycił dziecię lęklive,

I uniósł z pól ojca włości;
A głuchy na łyzy ieżące,
Rzucił je słabe i drżące,
Aż do stóp nieśmiertelności.

Tak, kiedy w falach ognistych,
Zawre zapał w mojej duszy
Szumem skrzydeł płomienistych
W sercu cnotę, czucie głuszy;
Zwalczyć chcę to ramie dzielne,
Drżąc, aby serce śmiertelne,
Nie niszczało w swym pożarze;
Jak ogień co z chmury błyszczy,
Leci, huczy, wali, niszczy,
Stos, świątynie i ołtarze.

Lecz gdy sercém myśl poruszy,
Wzgląd czuciom granic nie skryśli,
Ciało nie uwięzi duszy,
Zmysły nie skrepują myśli.
Piorun krąży w moich żyłach,
Piorunowi dotrwam w siłach!
Walczę, walka je podżęga,
Lawa mego uniesienia
Lejąc się w potokach brzmienia,
I z tchem i z życiem ubiega.

Patrz Muzo, na łup twój cały,
Już to me jest świetne czoło,
Już to nie jest wzrok ów śmiały,
Co blask święty ciskał w kolo;
Wpływ twój me jutro w dziś wcielił,
Młodość z resztą dni rozdzielił
I bliższy kres jój zamierzył;
A wśród czoła mego składu,
Nic nie zostało, prócz śladu
Gdzie niegdyś piorun uderzył.

Szczęśliwy, zimny poeta,
On lutni łzami nie rosi,
Jego zapachu podnieta,
Nie tak wzburza, nie tak wznosi
Z strun jego rozciągnęła rzeka,
Z łagodnego miodu, mléka,
I z liczbą i z miarą płynie;
On baczniejszy od Ikara
Lecąc na skrzydłach Pindara,
Nigdy nie spada, nie ginie.

My musimy gorzć, płonąc,
Drzcć się pod zawistne nieba,
Razem z pieśnią duszę zionąc,
Bo chcąc malować, czuć trzeba.

Serca nasze — są ogniska,
Gdzie uderza, skąd odbłyska,
Każdy przyrodzenia promień;
Lecz ten żar co w słowach świeci,
Co przez usta, w duszę leci,
Namiętności stwarza płomień.

Nie — te boskie uniesienia,
Nie wrą w nieczynnych dusz cieśni,
Ni ta światłość co z niechcenia,
Świat zagarnia w nasze pieśni.
Nie, nie! — gdy z strzałami swemi,
Feb Homera w kraju ziemi,
Zstąpił ze szczytów Eryxu;
Lecąc nad brzegiem piekielnym,
Broni, którą groził śmiertelnym,
Zmoczył w wrzących wodach Styxu.

Ustąpcie ze szczytu chwały,
Wy co zpodłacie dar wieszczą,
Ta lutnia, ten wdzięk wspaiały,
Tylko świętość prawd obwieszczą.
W nas serca tój są natury,
Co nadgrobowe marmury,
Memnona oplakujące,
By im nadać głos i czucie,
Trzeba, by w promieni rzucie,
Światło przesłało im słońce.

I ty chcesz, bym jeszcze splonął,
Iskra w popiele tlejąca,
Bym resztę duszy wyzionął,
Z pieśnią wśród wiatrów ginącą?
Cieniem snu jest próżna chwała,
Osa dni moje skracala,
W postaci szczęścia pasterki,
Nie, — już życia w pieśń nie zmienię;
Ja ostatnie moje technienie,
Chcę zachować dla kochanki.

EUCIENJA.

Lord *Marwell* szedł podług zwyczaju, przed zapadnięciem zmroku, na most, w jednej z północnych niemieckich stolic, aby raz jeszcze nim zajdzie słońce, zobaczyć jego płomienisty obraz w błękitném zwierciedle rzeki. W końcu mostu zatrzymał się; oko jego zdawało się szukać kogoś i niecierpliwie spoglądał na puste arkady.

Lord nie oczekiwał ani na kochankę, ani na przyjaciółkę, podeszła w latach żebraczka była przedmiotem którego szukał.

Po śmierci swego ojca, lord Marwell został posiadaczem ogromnego majątku; odziedziczył zarazem wszystkie piękne przymioty zmarłego, ale i skłonność jego do melancholji. W służbę wojskową nie chciał wstępować, aby swietnić w parlamencie, do tego nie dostawało mu darów wymowy, był bowiem lękliwy, nieśmiały; w ten sposób był zupełnie bez zatrudnienia, co bardziej jeszcze powiększało jego tęskność. W dobrach jego ojca od śmierci jego panowała zupełna cisza. Chęć ujęcia przed smutkiem, skłaniała lorda do podróżowania, i po niejakiem czasie niezadowolonego przebiegania z miejsca na miejsce podobało mu się na koniec pozostać czas niejaki w M...

Marwell był dobroczynnym pocieszycielem nieszczęśliwych; nigdy nie ominął żebraka nieobdarzywszy go, i tym sposobem dał się i w M... poznać niejednemu, jako pan hojny którego warto spotkać.

Jak każdemu tak też i jemu zdarzyło się trafić na niegodnych; nie raz bogato obdarzył żebraka pieniędzmi i sukniami, a potem znalazłszy

jego mieszkanie, ujrzał go wesoło częstującego kolegów za pieniądze które dostał przedawszy dar dobroczyńcy; mimo to lord ciągle dawał jałmużny, myśląc sobie, że pośród mnóstwa próżniaków i oszustów, nie jeden znajdzie się prawdziwie nieszczęśliwy. Przed kilku dniami idąc przez most, zobaczył lord kobietę, która nadzwyczajnie pociągała go swojemi pięknemi jeszcze rysami i szlachetnością która błyszczała przy jój ubogiem ubraniu. Wymowném choć prawie dumnym spojrzeniem i pęstawą, wzywała ona litości przechodzących, ale kiedy lord złamaną niemiecką zapytał o jakąś ulicę, odpowiedziała czysto po angielsku, chociaż z akcentem niemieckim.

Odtąd codziennie podawał jój lord wspomnienie, które ona z wdzięcznym spojrzeniem przyjmowała. Zdawało mu się że to blade szlachetne oblicze z ciemnymi oczami, widział już dawniej, młodszym, łagodniejszym, ale nie mógł przypomnieć sobie gdzie. Nie raz już zapytanie o jój los przeszły, drgało na ustach lorda, ale zawsze delikatność wstrzymywała je. Dziś jednak chciał, musiał zapytać się téj kobiety o jój przeszłość; bo teraz, nagle, jasno przypomniał sobie, że dzieckiem, widział jój obraz u swego ojca, który go zę łzami do ust przyciskał.

Nie przyszła; następnego dnia także napróżno poszedł na most. Nakoniec trzeciego dnia znalazł ją znowu w zwykłym miejscu.

— Czy słabą byłaś? zapytał lord uprzejmie.

Skinęła głową przecząc.

— Czy odrzuciłabyś, mówił lord dalej, z zwykłą swoją nieśmiałością, gdybym dla polepszenia twego stanu...

— Mylordzie, odpowiedziała łagodnie i wdzięcznie, podajesz mi codzień jałmużnę; poprzestań na mojej wdzięczności, jest ona szczera i żywa.

— Przebacz mi jeśli jestem ci natrętny, rzekł Marwell wzruszony, powoduje mną uczucie szlachetniejsze niż ciekawość. Zdajesz się być godną lepszego losu, i dawniej...

— Przestań, mylordzie, przestań, przerwała żywo żebraczka, ale pozwól mi zapytać się, komu winnam takie zajęcie mną.

— Lordowi Marwell.

Żebraczka długo patrzyła przed siebie. Czy żyje, zapytała drżącym głosem, czy żyje jeszcze wasz ojciec?

— Umarł.

Uśmiechnęła się ze łzami i chciała odejść; ale jakaś słabość, która ją nagle opanowała, nie pozwoliła jej iść. Lord nie zważając na ciekawe

spojrzenia otaczających, podał jęj rękę. Przyjęła ją nie nie mówiąc; postać jęj chociaż pochylona, miała coś znakomitego, powabnego. Po cichu wymieniła przedmieście gdzie mieszkała, i głęboko zamysłona, drżąca, wspierając się na rękę lorda Marwell poszła ku owęj stronie. Już noc była bliską kiedy doszli do mieszkania Anny. Otworzyła drzwi domu i zstąpiła po wschodach do podziemnego piętra. Otworzyła drugie drzwi, a lord ujrzał się w małej ale czystej stancyjce, w której znajdował się tylko prosty stół, dwa stolki i kilka wazoników z kwiatami.

— Mylordzie, rzekła teraz spokojnięj, nie przypadek, ale niebo samo przywiodło cię do mnie; nie jesteś mi dalekim, — ale o tём późnięj! Moje mieszkanie jest ci już wiadomém, i jeśli zechcesz, odwiedź mię w Niedzielę wieczorem; będziesz pożądanym gościem.

Anna rzekła to wszystko z taką godnością, że lord mimowolnie prawie skinieniem głowy podziękował. Zdawała się ona nie czynić żadnej różnicy między bogatym i ubogim, i uważać żebranie nietylko nie za poniżające, ale nawet nie przykre zatrudnienie, owszem raczęj jak dziecię natury, albo człowiek stojący na najwyższym szcze-

blu, zdawała się sądzić, że jak bogactwo nie jest żadną zasługą, tak ubóstwo nie może być plamą.

Marwell pożegnał ją z przyrzeczeniem, że ją odwiedzi znówu, i wracając do domu oddał się rozmyśleniom nad tém zdarzeniem.

W kilka dni potém, jakiś wewnętrzny głos poprowadził go do *Ann*y, której od owego wieczoru nie widział ani razu na moście. Wszedł z cicha przez otwarte drzwi domu, i zapukał do mieszkania *Ann*y. *Anna* zapytała kto puka, i po wymienieniu nazwiska, wpuściła lorda. Podała mu rękę z wyrazem radości i poprowadziła go przez znaną mu już izbę do drugiej stancji.

Jakże zadziwił się lord, ujrawszy się w obszernym, wcale nie ubogo wyglądającym pokoju. Na ścianach wisało kilka obrazów olejnych; na podłodze leżał kobierzec. Przyjemnie woniejące kwiaty ustawione były na świetnie polerowanym stole, a jasny ogień palił się na czystym kominku. Na stoliku przy łóżku leżało kilka książek, a obok zaraz krośna z piękną w pół wykończoną robotą.

Lord *Marwell* stał przez kilka chwil bez poruszenia. „Mój Boże, czy to sen!“ zawołał nakoniec, jeśli twoim zamiarem było obłąkać moje zmysły, to cel twój już dopięty.

Właśnie usta Anny otwierały się, aby odpowiedzieć, w tém drzwi się otworzyły, główka aniołka ukazała się w nich, i zaraz z krzykiem trwogi, którego powodem była obecność lorda, cofnęła się.

— Wejdz! Lord Marwell jest cudzoziemcem, i dopiero od kilku tygodni znajduje się w tutejszém mieście! zawołała Anna po niemiecku, i zarumieniona, z lekkim ukłonenem, weszła piękna dziewczica i w milczeniu siadła przy krośnach. Lord zarumienił się także. Myśl, że dziwna żebraczka chce go zapoznać z piękną dziewczicą, że ma jakieś plany, zaczęła powstawać w jego duszy. Walczył sam z sobą, czy ma pogardzać, żalować, czy ocalić to młode stworzenie, i dla tego zrostągnięciem odpowiadał na słowa Anny. Dziewica ciągle milczała, zaledwie czasem podniosła oczy. Obecność lorda zdawała się być jej przykrą, a on, poznawszy to, powstał i w niewielu słowach pożegnał Annę.

— Anna, mówił do siebie wyszedłszy, nie jest tak biedną jak się zdaje. Dla czegoż zebrze? Dla czegoż oddała się z cichego ustronia, aby wśród wichru i zimna błądzić po ulicach i zbierać drobną jałmużnę, a nieraz usłyszeć pogardliwe wyrazy? Kto jest to piękne dziewczę, którego ubiór jakkolwiek on jest prosty, okazuje szlachetny ród

i wychowanie? Jój córka? Niepodobna! Jój krewnia? Cóż go to wreszcie obchodzić mogło! Bardziej mu szło o to, czy niewinność jój rysów i szlachetność postawy jest kłamstwem albo czystą prawdą. Przedsięwziął nie śledzić ani jój losu ani jój charakteru, tylko zdać się na swojego jeńjusa i dar dostrzegania.

Anna nie pokazała się już na moście; lord Marwell chcąc ją zobaczyć, musiał odwiedzić jój mieszkanie; uczynił to kilka razy. Nie widział już młodej dziewczyny; ale krośna stały ciągle, a robota na nich była już prawie skończoną. Cieszyło to lorda że jój nie było, że teraz mógł nie obwiniać Anny o jakie bądź zamiary! Bo nie pokazywanie się jój na moście, zadziwiło go, a jednak skrycie pragnął ją widzieć.

Pewnego wieczora, gdy wszedł z cicha i niepokajac, siedziała Lidia przy oknie, pogrążona w myślach. Nie słyszała jego wejścia, a Marwell, nie śmiał przerywać jój myśli. Lidia wdychała; tzy spływały po jój pięknych licach, spoglądała smutnie na różne części stroju rozłożone przed nią z cichém wykrzyknieniem: To nie dla mnie! wstała i wzięła się do roboty. Lord

dał się postrzedz; Lidja powitała go nieśmiało ale przyjaźnie. Anna weszła, i tym razem Lidja odzywała się niekiedy do rozmowy.

Odtąd lord Marwell prawie co wieczór bywał u Anny; nawet z niecierpliwością czekał chwili w której mógł iść do niej. Gdziekolwiek się znajdował, wszędzie mu czegoś brakowało. Był on namiętnym lubownikiem muzyki; ale słuchając nawet najpiękniejszego koncertu, czuł chęć znajdowania się w tej chwili w podziemnym Anny mieszkaniu, obok Lidji. Jednakże wrodzona mu wstrzemięźliwość nie pozwalała mu częściej odwiedzać Anny; i chociaż ona okazywała mu prawie macierzyńską miłość, nie miał jednak odwagi zapytać jej o los jej i Lidji.

Pewnego rana wszedł lord Marwell do sklepu mód, aby sobie coś kupić; z nim razem weszło kilka młodych dam wysokiego rodu, z którymi zapoznał się w towarzystwach. W jednym kąci-ku sklepu, ujrzał Lidję zajęta dohorem peli. Zarumieniona schyliła się jak się zdawało umyślnie. Zdawało jej się przykrém, że się znajduje w tym sklepie razem z lordem Marwell i młodemi damami wielkiego tonu. Lord uklonił się jej z uszanowaniem; spojrzenia młodych dam zwróciły się na Lidję. Spoglądały dumnie, prawie

szyderez, a potem śmiejąc się po cichu między sobą, rzucały spojrzenia politowania na lorda, i wyszły ze sklepu zaledwie lekkim skinieniem głowy żegnając zostających. Lord ujrzał łzy w oczach Lidji, chciał przemówić do niej, ale ona prędko zapłaciła za pele i wyszła. Roztargniony lord rzucił modniarce sakiewkę, zabrał kupione towary i wybiegł ze sklepu, aby pójść za Lidją. Czuł on co cierpiała na widok szyderczych spojrzeń wielkich dam. Ale dla czegoż one tak na nią spojrzały? czyliż jej charakter zasługuje na to? W takim razie, owe damy nie powinny były uważać na nią! Czy też to dla tego że była wychowanicą żebraczki? To zdawało mu się jeszcze ni epodobnijszém.

Gniewał się na te panie, gniewał się na Lidję, że zdolną była dotychczas zostawić go w niewiadomości względem swego stanu i nazwiska.

Kiedy ją najpierwszy raz potem widział, była widocznie pomieszana; jego obecność zdawała się mniej jej sprawiać radości jak kiedy indziej. Usłyszał nawet iż mówiła że niedługo już bawieć będzie u Anny, i pożegnał ją z sercem zasmuconém.

Lidja miała wyjechać, on już ją może nigdy nie zobaczy. Te myśli ciężko spadały na jego

serce; nie mógł już tać przed sobą, że ją kocha; ale do czegoż doprowadzi go ta skłonność, nawet gdyby Lidja wzajemnie go kochała? Na śmiertelném łożu ojca swego przyrzekł mu, że połączy się tylko z kobietą, której dobroć serca i cnoty dobrze pozna, której poprzednie życie, wychowanie i stan będą dla niego stosownemi. O dobroci serca i cnotach Lidji nie powątpiewał; jój wychowanie musiało być staranném, bo jój umysł bardzo był ukształcony i bogaty w piękne przymioty. Ale cóż sprowadziło ją razem z Anną? Dla czego nigdy prawie nie wychodziła z domu? Czemu kryła się przed ludzkim wzrokiem? Kto byli jój rodzice?

Lord Marwell kochał; ale z natury był rozmyślającym, skłonnym wszystko pilnie rozważać, żył on nietylko dla terażniejszości, ale i dla przyszłości. Miał sposobność przekonać się, ile niekiedy nieszczęśliwemi czyniły małżonków, źle dobrane związki. Nie miał siły wyrzec się na zawsze Anglii, i równie nie zdołał znieść myśli, żeby dumna rodzina jego, miała pogardzać żoną jego z powodu jój urodzenia.

Tak nie zadowolony sobą, ponieważ miłość i pamięć ojca walczyły w nim z równą mocą, widział lord jak dzień za dniem upływał, niemogąc

powziąć żadnego postanowienia, ani oświecić się względem Lidji. Odwiedzał Annę co tydzień, a nawet z zbliżeniem się zimy coraz częściej. Anna przyjmowała go z tkliwém przywiązaniem, a Lidja przyjaźnie i szczerze. Coraz bardziej otwierała mu swoje serce; rys smutku rzadko już pokrywał jój lice. Mogła nawet żartować i bawić się zupełnie jak dziecię. Zwykle lord przynosił z sobą jaki podarunek; kwiat, rzadki owoc albo zajmującą książkę. Bawili się, czytali, śpiewali razem, albo grali w szachy. Marwell doskonalił się w niemieckim, a Lidja w angielskim języku. Żadne słowo miłości nie wyszło z ich ust, ale ich oczy mówiły wyraźnie jakie uczucie zajmuje ich serca. Lord nigdy już nie czuł się samym, nie bawily go już towarzystwa, w których dawniej przyjemność znajdował, jego światem był podziemny pokój Lidji, w mieszkaniu żebraczki! Uśmiechał się sam z siebie, że się stał takim nieprzyjacielem świetnych wyszukanych rozrywek.

W ten sposób zbliżyła się wigilja Bożego narodzenia. Weszło wszedł wieczorem do mieszkania Anny. Nie pomogły żadne dowodzenia; Anna i Lidja musiały wyjść. I wtedy dopiero weszło zajął się lord porządkowaniem pokoiów. Na-

koniec skończył swoje dzieło. Wprowadził Annę i Lidję, obie znalazły dobór najprzyjemniejszych podarunków. Anna, książki i kwiaty, Lidja arfę, nowe nuty, i różne drobne ozdóbki, w które chętnie przystraja się młoda dziewica. Lidja chciała nie przyjąć bogatych podarunków, ale lord prosił tak czule, Anna sama dopomagała mu, i na koniec Lidja skłoniła się do przyjęcia, a nadto jako wzajemny podarunek podała lordowi różową wstążkę, którą nosiła na szyi.

— Ja także, rzekła Anna, mam dla was podarunek, szczególnie dla ciebie, mylordzie! Dawno chciałam już dać ci ten podarunek, ale zachowałam go na dzień dzisiejszy: — to jest opowiadanie mojego poprzedniego życia.

Marwell i Lidja siedli obok Anny, a ona tak zaczęła:

— Przed wielu laty, byłam spokojną, szczęśliwą, a gdyby można wierzyć pochlebcom, nawet piękną dziewczyną. Rodzice moi kochali mnie nieskończenie, i wypełniali każde moje dziecięce życzenie. Posiadałam wszystko czego zapragnęłam, uczyłam się różnych rzeczy, ale jak to zwykle się dzieje z pieszczonemi dziećmi, nie gruntośnie się nie nauczyłam. O przyszłości nie my-

ślalam wcale, terażniejszość była dla mnie wszystkiém.

Dosięgam siedemnastego roku, kiedy pewnego dnia mój ojciec przyszedł do domu niezmiernie ucieszony z znajomości, jaką zabrał z młodym jednym Anglikiem. Młodzieniec ten został wprowadzony do naszego domu i odtąd rzadki tydzień przeminął, żebyśmy go nie widzieli. Zaczęłam kochać go, jego miłość, którą nie długo zdołał tać, podwoiła moc mojej namiętności. Moje serce nie znało nic droższego jak Artur. Rodzice moi z radością widzieli nasze wzajemne uczucia; niczego nie brakowało do naszego szczęścia, jak zezwolenia ojca Artura. Ale to zezwolenie nie nadchodziło; Artur był uiespokojny, ja nie. Nie mogłam pomyśleć, żeby jakiegokolwiek moje życzenie zostało niespełnioném! Ale boleść bliżej mnie była niż mogłam się spodziewać! Mój ojciec umarł nagle, nie zostawiwszy żadnego majątku. Znaczny dochód, jaki mu jego urząd przynosił, upadł z jego śmiercią, moja matka i ja straciłyśmy w nim wszystko. Artur nie zmienił się; przyrzekł on nietylko o mnie, swojej przyszłej małżonce, ale i o matce mojej mieć staranie. Wtedy już zaczął dzielić z nami swoje mienie.

Ponieważ ciągle jeszcze nie otrzymywał odpowiedzi swego ojca, a bez jego błogosławieństwa Artur nie mógł być szczęśliwym, postanowił przeto jechać do Anglii, i osobiście otrzymać zezwolenie ojca. Matka moja pochwaliła ten zamiar; ja choć ganić go nie mogłam, rozplywałam się w łzach. Moja boleść, powiększona skrytą obawą, rozdzierała serce Artura, aby mię uspokoić, postanowił tajemnie połączyć się ze mną. Zezwoliłam, zostałam żoną Artura, i w ośm dni po ślubie, który mimo naszej chęci nie został tajemnicą dla całego prawie miasta, Artur odjechał do Anglii.

Przez cały czas podróży, pisał do mnie prawie codziennie, ale z jego rodzinnego miasta otrzymałam jeden tylko list pełen tkliwości, w którym zaklinał mię, abym cierpliwie czekała. O ojcu jego nie było ani wzmianki. Zaczęłam być niezmiernie niespokojną; myśl o ojcu Artura rozdzierała serce moje. Nie mogłam także być panią piekielnej zazdrości, która zaczęła powstawać w mej duszy, i matka moja napróżno starała się pocieszać mię! Czulałam, że jestem matką, i z radośnym wzruszeniem doniosłam to memu mężowi. Odpowiedź jego była pełną miłości, ale zdawało mi się, że w liście jego dostrzegam ślady

melancholji, i usiłowania ukrycia prawdy. Ważne zatrudnienia, pisał, zatrzymują go w Anglii i dopiero za kilka miesięcy spodziewa się wrócić do mnie.

Ta wiadomość wprawiała mię w głęboki smutek. Stan mój uczynił mię drażliwą; oddalenie Artura powiększało moją tęsknotę niekiedy aż do rozpacz. Nie mogłam dłużej znieść téj boleści, i postanowiłam pojechać do Anglii. Matka moja nie była temu przeciwną; obawiała się ona aby przy dłuższém trwaniu tego bolesnego stanu, zdrowie moje a może i życie nie zostało narażoném, i dla tego, sama przyspieszała mój odjazd. Ona sama była zbyt słabowitą, aby mi towarzyszyć mogła; ponieważ jednak przysyłane przez Artura pieniądze nie wiele przewyższały potrzeby nasze, nie mogłam przeto wziąć żadnej innej towarzyszki. I tak, smutna, ośmnasto-letnia matka, przywykła do zbytku i obfitości, niedoświadczona, rozłączyłam się z moją matką aby wpośród obcego mi świata, szukać tego który mi był najdroższym.

Podróż moja była z początku wolną od wszelkich przypadków. W połowie drogi otrzymałam

list mego dawnego opiekuna, w którym mi donosił o śmierci mojej matki, i potrzebie użycia wszystkiego co po niej pozostało, na zaspokojenie jej długów. Byłam więc samą na całym świecie, dopóki nie znajdę Artura. Na nim teraz polegała cała moja przyszłość.

Smutna, a jednak pełna jeszcze nadziei przybyłam do Anglii. Nigdzie nie zatrzymywałam się Ab, już tylko kilka godzin drogi oddzielało mnie od posiadłości mego teścia.

Na ostatniej stacji, sąsiadem moim w powozie pocztowym, był jakiś podeszły, rozmowny jegomość. Umiałam po angielsku, i zapytałam się mego sąsiada czy daleko jeszcze do W.

— Już zaraz tam będziemy, odpowiedział; czy W. jest celem podróży pani?

Skinieniem potwierdziłam.

— Czy pani jesteś spokrewnioną z lordem H**?

Skinęłam znowu. Czy zaczęły dobywać się z moich oczu.

— Zapewne przybywasz pani na wesele młodego lorda?

— Na wesele? Czy lord H** ma kilku synów?

— Tylko jednego!

Byłam bliską zemdlenia. I ten jeden żeni się? wyjąkałam.

Tak, to jest dziwna historia! mówił stary gadała. Lord był dawniej bardzo bogatym. Wtém przed trzema laty — Bóg wie dla czego! — rozpoczął proces z swoim sąsiadem lordem R*. Sprawiedliwość zdawała się być zrazu za stroną lorda H**; ale nagle, wszystko się zmieniło. Lord H** przegrał proces, i ma, jak słyhać, cztery piąte części swego majątku przez to postradać. Dziwném zdarzeniem, teraz dopiero poznali się bliżej dwaj przeciwnicy, pojednali się, stali się przyjaciółmi, a bogaty lord R* oświadczył, iż cały proces uważać będzie za niebyły, jeśli syn lorda H** połączy się z jego córką. Miss Łucja R* ma dopiero lat dziewiętnaście, jest zachwycającą, bogatą, kochała ona młodego lorda jeszcze przed jego wyjazdem na ląd stały, ale ten dziwak oświadczył swemu ojcu, że nie zaślubi miss R*. Lecz ojciec, mówił dalej nie zważając na moją bladość, potrafi go skłonić. Ukrywa on przed miss Łucją wstręt swego syna, który już nawet coraz uległszym się okazuje i powoli przystanie zupełnie.

Mleżałam; brakło mi łez. Czegóż się dowiedziałam? Jako, jeśli miss R* istotnie jest tak pię-

kną, i Artur tylko przez uczucie powinności wzbrania się? albo jeśli już skłania się, jeśli miłość albo posłuszeństwo dla ojca powoduje nim, jeśli ostatni list jego był pożegnaniem! albo jeśli przez miłość dla mnie i mego dziecięcia siałgnął gniew swego ojca i żałował później? Cóż miałam czynić! Byłam matką, kochałam jego i moje dziecię! — Przez minutę byłam w niepewności, a potem przygotowałam się znieść wszystko. Chciałam ukryć się przed lordem H**, to znów pragnęłam pójść do niego, odkryć prawdę i domagać się od niego mego męża i ojca mego dziecięcia!

Przybyliśmy do W.... Stałam w najlepszej oberży. Było to południe. Nie mogłam nie jeść, uporządkowałam mój ubiór, chciałam posłać do Artura. Gospodyni oświadczyła, że nie ma kogo posłać, a przytém dodała, iż trudno byłoby mówić dziś z młodym lordem, gdyż przy obiedzie mają się odbyć zaręczyny. Wybiegłam i poszłam ku zamkowi, i zabłąkałam się w parku. Tu gdzie powinnam przechadzać się jak szczęśliwa pani, chodziłam płacząc. Rozpływałam się we łzach, prosiłam lokaja, który spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, żeby mi nie zabraniał przechadzać się.

Głosy dały się słyszeć, głosy kobiece. Kto to tu idzie? zapytałam się maléj dziewczynki, któ-

na zrywała róże. — Miss Łucja R*, odpowiedziała dziewczę. Ujrzałam wysmakłą piękną kobietę, ubraną w złoto i klejnoty. Zbliżyła się. Nigdy nie widziałam piękniejszych rysów i bardziej zachwycających błękitnych oczu. Złociste jej włosy przeplatane były perłami, jej lica walczyły o pierwszeństwo z różami. A ja, blada, smutna, w ubiorze podróżnym, i ze łzami zamiast pereł. Usiadłam i w milczeniu płakałam. Później przyszło to samo małe dziewczę. — Obrabki, rzecz do mnie, w salonie gra muzyka. Pójdź ze mną do przedpokoju, mój ojciec jest tutaj murgrabią. Milcząc uściśkałam dziecinę i poszłam za nią. Zabobonna, mniemałam, że dziecko szczęście przynosi.

Z przedpokoju widziałam wszystko nie będąc widzianą; i Artura także. Siedział obok Miss Łucji, był blady i smutny. Jakiś podeszły jegomość w którym poznałam Lorda H** wziął pułap. Zadrżałam. „Mój ojciec, rzekł Artur, błagając. „Młody lord jest smutny, jak gdyby dusza jego była jeszcze w Niemczech! rzekł jeden z gości. — Ujrzałam łzę błyszczącą w oku Artura; nie mogłam się wstrzymać dłużej. — „Arturze, drogi mój mężu! zawołałam i pobiegłam ku niemu, a on silnie uściśnął mnie w objęciach, okrywał tkli-

wemi pocałunkami i słodkie dawał mi imiona. Wtém silne ramie oderwało mię od niego, w uszach moich zabrzmiały wyrazy: Bezczelna! żebraczka! usłyszałam jeszcze i żart z innych ust: „Daj twemu mężowi półmilion f. st. posagu, to go sobie weźmiesz!“ i padłam w konwulsjach na ziemię. Mój mąż chciał mi pospieszyć z pomocą, ale jego ojciec zatrzymał go. Co mówili, nie słyszałam, ale ujrzałam mego męża, który zbyt długo gniew swój hamował, jak zalany krwią, która mu się z ust rzuciła, upadł obok mnie na ziemię.

Wróciwszy do zmysłów, ujrzałam się na skromném, ale czystém łóżku. Zerwałam się i pobiegłam do okna; w oknie były kraty. Ujrzałam obszerny wysokiemi murami otoczony ogród, przechadzało się po jego aleach mnóstwo mężczyzn i kobiet w białém dziwaczném ubraniu. Jedna z kobiet spojrzała w górę do mego okna i grzecznie kłaniając się, zawołała: „Królowo Artemizjo, chciaj zejść tu jak najprędzej, Księżniczka Dydona chce z tobą się zobaczyć.“

— Boże! gdzież jestem! zawołałam z przerażeniem, i pobiegłam do drzwi; były zamknięte. Pukałam i wołałam na próżno. Nakoniec drzwi o-

i zapytał: „Dla czego takie krzyki? połóż się i bądź spokojną.

— O mój panie! gdzie jestem, kto mię tu przyprowadził?

— Jesteś w bezpiecznym miejscu, przyniesiono cię tu w marzeniach gorączkowych, i zostaniesz tu póki nie odzyskasz zmysłów!

— Tu zostać! niepodobna! zawołałam łkając. Dzisiaj jeszcze opuścić muszę to miejsce okropne; bo teraz poznaję, że jestem w domu obłąkanych!

Spojrzała na mnie zimno, wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— A więc w domu obłąkanych, pomyślałam, — uwięziona, — na rozkaz lorda H**! Płakałam z gniewu i smutku; od mego męża spodziewałam się uwolnienie. Obłąkana dziewczyna przyniosła mi jedzenie i napój, później czystą bieliznę i wszystko czego potrzebowałam. Na pytania moje nie mogłam mi nie odpowiedzieć; ponury człowiek, naczelnik lekarz instytutu, milczał także. Żądałam atramentu i pióra; napisałam do mego męża. Lekarzowi oddałam ten list, ale ile razy mówiłam o moim mężu sir H**, doktor uśmiechał się z nieufnością. Dzień za dniem upływał, obłąkana dziewczyna była moją jedyną towarzyszką, drzwi ciągle były zamknięte. Płakałam, prosiłam, roz-

paczałam. Napróćno! zdawało się, że całe życie mam przepędzić w tém uwięzieniu.

Tak nadeszła chwila mego rozwiązania. Nie miałam kołębki ani bielizny dla mego dziecięcia. Drżałam, a jednak pocieszałam się. Moje dziecię zostawia mi przecie ci okrutni! Straszna godzina nadeszła; ponury lekarz i jakaś kobieta byli przy mnie. Zmysły mię odstały. -- Kiedy po długim omdleniu wróciłam do przytomności, lekarz stał przy mojem łóżku. Mojem pierwszym pytaniem było: Czy mam dziecię?

— Masz syna!

— Gdzież on jest?

— Nie żyje!

— Spojrzałam błędnie przed siebie. Nicopisana boleść ogarnęła mię, nakoniec błagając rzekłam: „Pozwólcie mi go zobaczyć!

— Już go dawno odesłano do pochowania. Kilka godzin leżałaś bez zmysłów.

Teraz dopiero łzy obficie rzuciły się z oczu moich. Ani nawet zwłok mego syna nie miałam zobaczyć! Moje wyobrażenia zaczęły się mieszać. Wtedy może istotnie byłam obłąkana. Wiem tylko, że ciągle siedziałam smutna i młózca, błagałam tylko, aby mię wypuszczono, abym mo-

gła pójść zebrać, póki nie zbiorę pół miljona dla mego męża.

Pewnego razu kiedy tak smutnie siedziałam, rzekła moja obłąkana towarzyszka: „Nie płacz za twojém dziecięciem, widziałam jak je ztąd wynoszono, żyło, i krzychało!”

— Żyło! moje dziecię żyło!

— Cicho, cicho, prosiła płaczliwym głosem obłąkana, mogłoby mię wybić za to żeś powiedziała. Widziałam, jak twoje dziecię odwożono w wspaniałym powozie, w którym siedział stary mężczyzna i młoda, piękna, blada kobieta, która przycisnęła dziecię do swego serca:

— Moje dziecię żyje, — zobaczę je znowu! Niech cię Bog^o błogosławi!

Obłąkana spojrzała na mnie wielkimi oczami; i rzekła: „Ci ludzie źle się tu ze mną obchodzą, ja tu już jestem tysiąc lat, — a u mojej matki było tak pięknie, ona mię tak kochała, w tój chwili przypominałam sobie o nięj, patrząc na łzy twoje, i dla tego wszystko ci powiedziałam.

Jakże tkliwie przycisnęłam ją do serca. Wiadomość otrzymałam od obłąkanęj; że dziecię moje

żywe przyszło na świat, zdawała mi się wyraźnym znakiem z nieba, że kiedyś ujrzę jeszcze mego syna. W nim łączyły się wszystkie moje myśli. Wypuszczono mię teraz na powietrze, chodziłam po ogrodzie i wszystkich przechodzących prosiłam o jałmużnę, aby wykupić mego męża i syna.

Wzruszający uśmiech i mocny rumieniec, ożywił przy tych słowach oblicze opowiadającej. Zatrzymała się przez chwilę, potem tak mówiła:

—Więcej niż rok przepędziłam w domu oblakanych i jeszcze nie było śladu nadziei, żebym została ztamtąd wypuszczoną; zawsze bardzo surowo obchodzono się ze mną. Pozwolono mi tylko przechadzać się w ogrodzie, którego drzwi niestety zamknięte były, a mury zbyt wysokie.

Pewnego razu, kiedy smutna siedziałam pod starą lipą, zbliżył się do mnie młody człowiek, którego rysy tak były powabne, iż od razu powzięłam zaufanie do niego. Był on, jak się od niego dowiedziałam, niedawno przybyłym lekarzem. Moje cierpienia zdawały się obudzać jego litość, przyjaźnie i łagodnie mówił ze mną. Prosiłam go, aby mi powiedział, kto mię w tym domu umieścił. — Wymienił lorda H**. — Ale ja nie jestem oblakana! — Spojrzył na mnie łago-

dnie. Opowiedziałam mu szczerze wszystkie moje przypadki.

Wzruszony słuchał mię z wielką uwagą. — Jakto, pani jesteś zaślubioną z sir Arturem H**? Tutaj mówią, że jesteś młodą dziewczyną, której się zdaje w obłąkaniu, że jest żoną sir Artura, i że ojciec jego przez dobroczynne uczucie oddał cię tutaj.

— Czy daleko stąd do W....

— Czterdzieści mil.

— A więc łatwo było złym ludziom udać fałsz za prawdę, bolesć moja dopomagała im jeszcze! Ale — jestem żoną Artura! Podalam mu pierścionek ślubny, który mi przez nieuwagę zostawili. Przeczytał na nim imię i nazwisko mego męża. Prosiłam, zaklinałam go, aby mię ratował. Przyrzekł uczynić wszystko, co będzie w jego mocy.

Odtąd codziennie rozmawiałam z nim, i na koniec zdawał się być zupełnie przekonany, że nie jestem obłąkaną, bo chociaż niekiedy w chwilach zbytznego uniesienia prosiłam go o jałmużnę, nie śmiał się nigdy i dawał mi pieniądze. Pieniądzo te chowałam i nie odbierano mi ich.

Kiedy pewnego dnia weszłam do ogrodu, mój przyjaciel zbliżył się do mnie: „Pani, rzekł, ponieważ lord H** przysłał cię tutaj, i nie wiem jak

dalece naczelny lekarz zna prawdziwe twoje położenie, napróżno więc byłoby starać się dowieść, że jesteś nieobłąkaną. Musisz uciekać. Tu jest paszport na imię mojej siostry, jest ona bardzo do pani podobną, tu także jest nieco pieniędzy. Dziś naczelny lekarz i inspektor wyjechali; mam klucz od furtki ogrodowej, przez którą możesz wyjść. Dwieście kroków ztąd naprawo, stoi powóz, który pod obcym imieniem nająłem. Ten odwiezie panią do najbliższego miasta, zkad będziesz mogła wziąć pocztę.

— Szlachetny mężu, rzekłam, jakże ci podziękuję! Ale pan się narażasz.

— Udam że nic nie wiem. Jeśli kiedy będziesz pani potrzebować pomocy przyjaciela, — moje nazwisko jest Whigram. Niech cię Bóg prowadzi; nigdy pani nie zapomnę o tobie. Oh chciałbym!..

Czułam, że rumieniec oblał twarz moją. Pani! — teraz pozwól mi jeszcze raz zobaczyć moją towarzyszkę.

Skinął zezwalając. Pobiegłam do mego pokoju: „Joanno, zawołałam, powiedz mi raz jeszcze jak wyglądał mój syn?”

— Nie był do ciebie podobnym, miał czarne

oczy, a nad okiem czerwone znamie, zupełnie jakby wyciśnięcie od obrączki.

— Dzięki! dzięki! zawołałam i wybiegłam. W milczeniu podałam rękę doktorowi i wyszłam z ogrodu. Wsiadłam do powozu i pojechałam do najbliższego miasta, a ztamtąd pocztą do W....

Rok cierpień znacznie mię zmienił; nadto nasunęłam kapelusz głęboko na czoło i zaczesalam wtył włosy. Stałam w tej samej oberży co dawniej, i zapytałam gadatliwej gospodyni o lorda H**.

— Mieszka w Londynie, jest słaby.

— A sir Artur?

— Od roku podróżuje.

— Czy ożenił się?

— Nie! piękna miss Łucja bardzo się zmartwiła. Sir H** jest już zaślubiony z jakąś Niemką. Bóg wie czy ona jeszcze żyje. Przed półrokiem miała syna, którego sir Artur zabrał z sobą.

— A jego ojciec czy gniewa się jeszcze na niego?

— Bezwątpienia, i gniewać się będzie do śmierci. To jest żelazna głowa! Z lordem R. znowu się pokłócił, za to, że on bronił sir Artura. No, jedno tylko dobrze zrobił stary lord H, to jest, że

kazał umierającej czy szalonej żonie sir Artura zabrać jej syna i oddać go jego ojcu.

Wiedziałam [już prawie wszystko, wyjąwszy miejsca pobytu mego męża! Ale serce moje mówiło mi: on jest w Niemczech! szuka ciebie! Gdyby był wiedział gdzie odesłał mię jego ojciec, byłby mię dawno zamtąd dawno uwolnił.

Ile możliwości przyspieszałam moję podróż do rodzinnego miasta. Pieniądze moje rozeszły się, niewiele nawet zostało mi z summy którą dostałam za dwa kosztowne pierścienie. Teraz musiałam istotnie udać się do łitości ludzi. Przybyłam do mojego miejsca urodzenia; o Arturze nikt nie wiedział. Oddaliłam się z miejsc wzbudzających we mnie najsmutniejsze wspomnienia. W kilku gazetach wzywałam Artura aby uwiadomił mię o miejscu swego pobytu. Napróżno! Chciałam go wyszukać, i błądziłam z miasta do miasta, przy tym sposobie życia nie mogłam nic zarobić, musiałam zebrać. Wewnętrzna bolesć moja tak była wielką że powierzchowna niedola zamiast powiększać moje cierpienia zmniejszała je raczej. Tak lata upływały. Zrzekłam się już nadziei wynalezienia Artura. Listy moje które posyłałam w różne strony świata, wracały bez odpowiedzi. Liczyłam go już do zmarłych.

Kochałam go jeszcze, ale nie do niego tęskniłam. Tyle cierpiałam, moje serce było już martwem, mniemałam że już nie zdoła uczuć ani rozkoszy ani miłości. Artur wtenczas jeśli żył mógł mieć trzydzieści pięć lat; ja miałam dopiero dwadzieścia osm. Ale jakże zniszczyła mię boleść! Bałam się przestraszyć noim widokiem Artura; ale mojego syna chciałam odzyskać. Dla niego czyniłam wszystko. Jeśli zebrałam na ulicy, to nie dla tego żeby życie utrzymać — bo dla tego mogłabym była pracować — ale aby pomiędzy tłumem ludzi śledzić Artura, albo mego syna. Wszystkie miejsca gdzie zgromadzali się Anglicy odwiedzałam codziennie, i każdego który mi jałmużny udzielił pytałam się o lorda Artura. Niekiedy otrzymałam w odpowiedzi: „Nie znam go“ innym razem oświadczano mi że podróżuje nie wiadomo gdzie. Spodziewałam się między dziećmi, między dorastającym chłopczykami, potem między młodzieńcami znaleźć mego syna chociaż w stu przynajmniej miastach ciągle na najbardziej uczęszczanych miejscach po całych dniach stawałam, zawsze wracałam do domu sama. Nakoniec puściłam się w podróż do Anglii. Lord H** już nie żył; ale ah, — Artur także, a może i mój syn! Dobra jego były zajęte. Dwa lata jeszcze mia-

no czekać na jego powrót, a potem miano je sprzedać. Wróciłam; żebranina i dziedzictwo, — byłam dziedziczką jednej żebraczki — uczyniły mię tyle bogatą że nie potrzebowałam już żebrać. Nie uczyniłam tego jednak. Wybrałam M.... na miejsce zamieszkania, ponieważ tu znajduje się mnóstwo Anglików: Wtedy ujrzałam ciebie Mylordzie, dowiedziałam się o twém imieniu, chciałam poznać cię dobrze pierwsi; nim ci wszystko powiem! Czyliż potrzebuję mówić ci, że nazwisko H** i W... są zmyślone, Artur Marwell jest twoje imię, na twojem czole jest znamie pierścienia, — jestem twoją matką! —

Długie uściśnienie nastąpiło po tém opowiadaniu, nakoniec Artur odezwał się: „Jak tylko zapamiętam, widziałem zawsze smutnym mego ojca. Często spoglądał na twój obraz i wzdychał „Eagenjo!“ Gdybyś nie była przybrała nazwiska Anny Hilner, byłbym cię zaraz poznał. Kiedy czasem pytałem o moją matkę odpowiadał mi smutno: „Umarła wydając cię na świat, z obłąkania którego powodem miał być mój dziadek. Podróżowaliśmy ciągle we Francji, Włoszech, Hiszpanji, Portugalji, tylko do Anglii i Niemiec niechciał jechać mój ojciec. Kochał

on mię tklawie i miał pilne staranie o mojém wychowaniu. Niedługo przed śmiercią udał się do swych dóbr w Anglji, a ja który w nim straciłem wszystko, opuściłem ten kraj i zacząłem podróżować w Niemczech. Tu znalazłem ciebie, i tu pozostanę, jeśli nie zechcesz zjad się oddalić.

Pierwsze kilka dni żył Artur tylko dla swojej matki. Po nowym roku, prosił raz Lidji, aby z nim i jego matką poszła na bal maskowy. Lidja wahala się, a pragnęła téj przyjemności, Eugeniya nie mogła nie odmówić synowi.

Ubrana jak bogini, weszła Lidja do sali obok Artura. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią; szczególnież chodził za nią jakiś Hiszpan. Tańczyła z nim, i przypadkiem spadła jéj maska. Zmieszany cofnął się. Artur, który to uważał, zbliżył się szybko.

Mości panie, zapytał Hiszpana, z jakiego powodu opuszczasz pan tę damę? Hiszpan wymówił się nagłą słabością i znikł.

Pytającym wzrokiem spojrział Artur na Lidję i swoją matkę. Wtedy Lidja rzekła: Żadnej już tajemnicy teraz, miły przyjacielu! Jestem córką znacznego urzędnika i szlachcica. Dom mego ojca był najświetniejszym w całym mieście. Ze

wszech stron składano mi hołdy. Mój ojciec umarł nagle, a wkrótce potem umarła i matka moja. Nie został po nich żaden majątek. Krewni, z którymi ojciec bardzo mało miał zażyłości, nie chcieli ani wiedzieć o mnie. Ten Hiszpan, człowiek, który kiedyś starał się o moją rękę, uczynił podobnie jak wszyscy inni. Tak opuszczona miałam właśnie zamiar pójść w służbę, kiedy przyszła twoja matka, wzięła mię z sobą, prosiła żebym pozostała u niej, pókiby się stosowniejsze dla mnie miejsce nie znalazło. Obsypywała mię dowodami przychylności.

— Ponieważ dawniej nie przeszłaś nigdy koło mnie żebyś nie dała mi jałmużny, niekiedy ze łzami. Ponieważ ty mnie, starą żebraczkę, kiedy raz zastałam, nie zważając że to wpośród dnia, żeś była w świątecznym ubraniu, odprowadziłaś aż do domu; ponieważ ty drogie dziecię moje!...

— Matko! Lidjo! błagał lord Marwel całując ich ręce. Potem wybiegł z nimi z pośród tłumu, a następnego dnia oświadczył swoim znajomym że zaślubia biedną, tak mało przez wielkie panie cenioną dziewczynę.

Artur, szczęśliwszy niż jego rodzice, poprowadził Lidję do swoich dóbr wspaniałych. Matka jego ujrzała znowu okolicę, park i zamek, w któ-

rym przed dwudziestu czterema laty tyle wycierpiała. Szczęście jej syna upiękoiło jesień jej życia. Znalazła nawet sposobność czynnie okazać się wdzięczną doktorowi Whigram, który żył jeszcze.

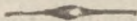
* * *

Przed dawnymi laty, ubodzy ludzie wprowadzili się do mieszkania opuszczonego przez Eugenją Marwell.

Kiedy raz, w samą wigilją Bożego narodzenia niedostatek tak był wielki, że dzieci kościwały od zimna, rozpaczający ojciec oderwał jedną deskę z podłogi, aby ją spalić dla ogrzania izby. Znalazł z zadziwieniem kilka garnków z miedzią, srebrem, a nawet złotymi pieniędzmi, i historję żebraczkę, z zastrzeżeniem, że znalazca tych pieniędzy ma się stać ich właścicielem.

On opowiadał mi tę powieść; a ja powtarzałam ją bez żadnych nad nią uwag.

B.



POGRZEB INDYJSKI.

Podczas mojego pobytu w Rholas Gur odbył się w pobliskiej wiosce pogrzeb, któremu nie o-mieszkałem być obecnym; ponieważ ja i moi to-warzysze strześliśmy się wnieść w orszak, prze-to krewni zmarłego, nie wzbraniłi nam przypa-trzyć się obrzędowi. Zmarły leżał, jak zwykle by-wa w podobnej okolicy, na marach które przykryte były purpurowym całunem gęsto w kwia-ty czerwone upstrzonym. Orszak pogrzebowy był dość liczny, i składał się z przyjaciół, krew-nych i powinowatych zmarłego, którzy jako głów-nie cierpiący przez śmierć jego, napelniali po-wietrze rozdzierającemi uszy narzekaniami. Pra-wie cała wieś postępowała za zwłokami dla od-dania ostatniej czei współmieszkańcowi.

Ci którzy byli najbliżej mar, nie przestawali okropnych narzekań które niekiedy głuszone by-ły przerażającym chorem głoszącym enoty zmar-łego. Ten rodzaj pieśni żałobnych, spiewany bywa przy każdym pogrzebie, i uważany jest za nieodbitie potrzebną część uroczystości, chociaż-by ta ograniczała się tylko na spaleni albo po-grzebaniu zmarłego. Rozdzierająca niezgoda tych krzykliwych przymuszonych żalów, połączo-na z głuszącym bukiem trąb rogów i tak zwanych *tamtam*, niedadzą się opisać.

Kiedy zwłoki przybyły na miejsce przeznaczo-ne do ich spaleni, wykopaao dwa kilka

całi głębokie i około czterech stóp między sobą oddane rowy, rowy te po obu końcach połączone były poprzecznymi rowami, tak iż wszystkie razem czyniły równoległobok prosto-kątny, około sześciu stóp długi a cztery szeroki, którego cztery kąty odwrócone były ku czterem stronom nieba. Postawiono mary i odkryto trupa. Na czole zmarłego wyraźnie widać było rozróżniający znak kasty do której należał, usta jego zżłtkane były orzechami *betel*. Kwiaty zebrane z całunu posypano na zwłoki, aby osłabić nieco przykry zapach olejów i żywic którymi były namaszczone dla łatwiejszego wpływu ognia. Pomimo tego nieznośnego prawie zapachu, nawet najbliżej stojący nie okazali żadnym znakiem że to im jest nieprzyjemnym, owszem zupełnie spokojnie dopełniali obrzędów. Wewnątrz obkrapanego czworoboku, odbyły się różne tajemnicze obrzędy dla zjednania duchów które podług mniemania ludu, krążą nad zwłokami i wpływają na szczęśliwość albo niedolę uwolnionej z ciała duszy. Po ukończeniu tej ceremoniji, zaniesiono zwłoki na stos, który przygotowany był starannie w miejscu umyślnie na ten cel przez czyniącego służbę bramina poświęconym. Składał on się z różnych dobrze żywicą osmarowanych gałęzi drzewa Mango, i wznosił się około trzech stóp nad ziemią. Ułożony on był w czworobok z największą dokładnością i regularnością, a drzewa tak szczelnie były układane, że rzadko gdzie widać było puste miejsce.

Czterech *Parias* złożyło trupa na stosie; oni tylko mogą dotknąć się umarłego; bo otrzeć się tylko o umarłego uważane jest przez wszystkie

kasty za skalenie, od którego tylko przez najtwardsze pokuty oczyścić się można. W takich przypadkach znoszą obecność biednego paria i to dlatego ponieważ bez niego obejść się nie mogą, ale w tedy nawet żaden surowej wiary ludj nim nie zbliży się do niego, z obawy żeby nie wstąpił w obwód jego cienia. Najznacniejszy z płaczków, — ojciec zmarłego jak się o tem później dowiedziałem, przystąpił, skoro tylko czterej parias odeszli, z zapaloną pochodnią w prawej i z wiadrzem wody w lewej ręce. Skoro doszedł do stosu na którym śmiertelne zwłoki jego syna spoczywały, odwrócił się do niego plecami z oczyma w niebo wzniesionymi, podsunął pochodnię pod stos rzucił naczynie z wodą na ziemię, skoro tylko usłyszał świst płomieni i jakby od złego ducha ścigany, zaczął uciekać. Ogień rozpalł się z zadziwiającą szybkością. W kilka sekund zwłoki okryte zostały silnym płomieniem, który tak gwałtownie działał, że wkrótce wszystko zamieniło się w popiół. Dla skrócenia obrzędu, zwłoki i stos — jak już wspomnieliśmy polewane bywają różnego rodzaju tłustościami przyspieszającemi palenie. Upuszczenie naczynia z wodą jest nieskończenie dawnym, zabobonnym zwyczajem, którego jak słyszałem nigdy nie zaniedbują. Lud wniema, że jeśli naczynie z wodą upadając nie stłucze się, w takim razie nim rok upłynie, umrzeć musi jeszcze jedna osoba z rodziny nieboszczyka, przeciwnie zaś jeśli się stłucze, co prawie zawsze się zdarza z powodu siły, z jaką je rzucają, wtedy rodzina na rok cały wolna jest od podobnego nieszczęścia.

W chwili podłożenia pochodni, ten który tę część ceremonji wykonywa, biegnie do najbliższego strumienia lub stawu i skacze w wodę, aby jak tylko można najprędzej uwolnić się od solamienia, jakie sciagnął sobie jak mniemają przez takie zbliżenie się do trupa. Mniej prędko ale prawie tuż za nim inni krewni i przyjaciele skaczą w wodę dla dokonania zwykłych oczyszczeń.

Skoro zwłoki strawione są przez płomień, popiół zbierany bywa z największą starannością i dopóty zachowany w dużém naczyniu glinianém, póki się nie zdarzy sposobność rozsypania go na święte wody Gangesu, które jak mówi religja Indjan wznoszą się ku niebóm i pomosą tym sposobem i te popioły z sobą, gdzie te drobne cząstki ziemskiej pokrywy, nanowo połączą się z duszą i używać z nią będą nieprzerwanego szczęścia na wieki.

Przy tej uroczystej okoliczności, czyniący służbę brahmin otrzymuje znaczną zapłatę. Od miernej uposażonej rodziny żądać sto rupji, nie uważa on za zbyt uczciwe, a ile tylko żąda, płacą mu z góry bez szemrania, z przekonaniem, że tak święty człowiek nie może dopuścić się niesprawiedliwości. Dla tego pogrzeby zwykle bywają z wielkim kosztem podejmowane, jeśli tylko strony mogą wydać znaczną ilość pieniędzy. W tym razie który opisuje nie było obrzędu Sutte (spalenia wdowy) chociaż zmarły pozostawił młodą wdowę, ponieważ w tej części Indji, barbarzyński ten zwyczaj zupełnie już prawie jest zniesiony.

Koniec tomu szóstego drugiego półroczu,
i ostatniego Tęczy.

SPIS RZECZY

W TOMIE SZÓSTYM ZAWARTYCH.

PÓLROCZE DRUGIE.

<i>Bal</i>	38
<i>Entuzjazm (wiersz)</i>	197
<i>Eugenja</i>	202
<i>Gęś Świętego Marcina</i>	49
<i>Obrazy z życia potocznego</i>	131
<i>Odjazd ze wsi (wiersz)</i>	104
<i>Polowanie w Egipcie</i>	24
<i>Powrót zdrowia pana Legouvé</i>	171
<i>Pogrzeb indyjski</i>	236
<i>Ręka woskowa</i>	58
<i>Szwaczka</i>	109
<i>Zakonnicy na górze Sw. Bernarda</i>	3
<i>Życzenie (wiersz)</i>	21

